

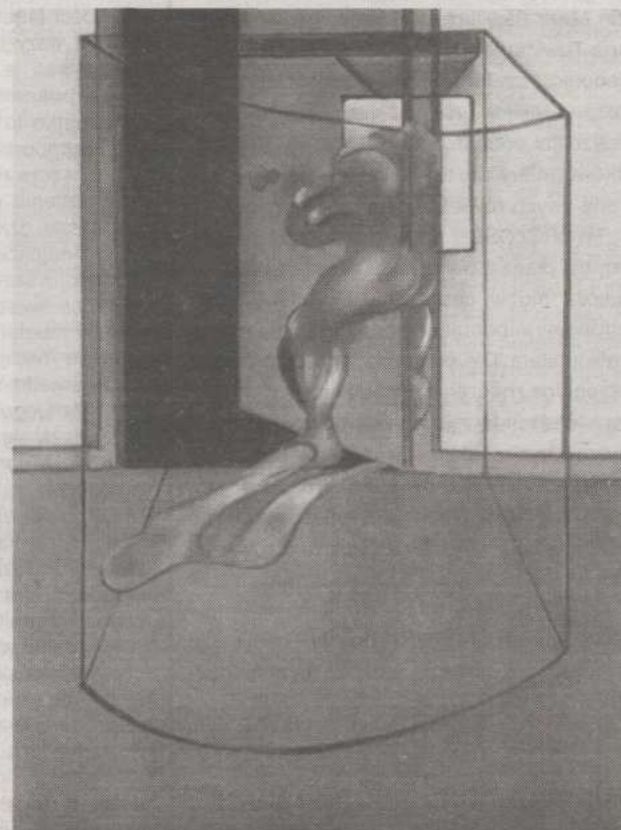
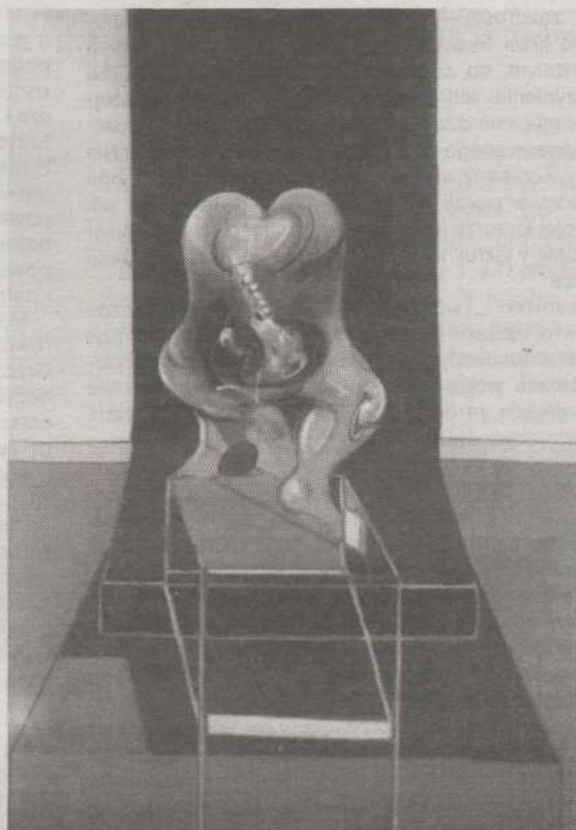
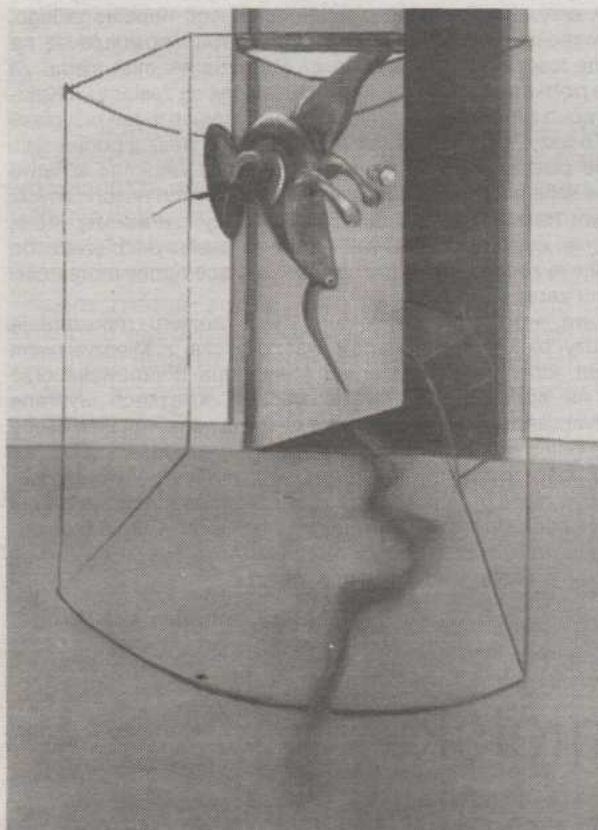
LITERACKA

Nr 6 (89) Rok IV

1 IV 1994 Kraków
Dwutygodnik

Nr indeksu 356-875

Tomasz Jastrun o „Uroках dworu” ■ Herbert wciąż czytany: eseje Marty Wyki i Jarosława Fazana
■ Proza Anny Potoczek ■ Małgorzata Ruda o krakowskim przedstawieniu „Jak wam się podoba”



Francis Bacon Tryptyk inspirowany Oresteją Ajschylosa, 1981, 198 x 147,5 cm, olej na płótnie, własność prywatna

Leszek Kołakowski Udręczenie

Pani Maria Podraza-Kwiatkowska napisała swój piękny esej o okrucieństwie, a Czesław Miłosz piękny swój komentarz dodał*. Tu jest mój komentarz do obu. Książki Zdziechowskiego nie znam, mam jednak angielską książkę o historii tortur, gdzie wynalazczość ludzka w tej dziedzinie techniki drobiazgowo jest opisana. Bardzo też polecam przejmującą książkę Michała Komara *Prośba o dobrą śmierć* (1993). Ojciec autora był torturowany w więzieniach Informacji wojskowej.

Bertrand Russell wspomina, iż jako młody człowiek doszedł do takiego oto wniosku: ludzie tak okropnie cierpią, że należałoby możliwie największą ilość ludzi zabijać, aby zmniejszyć, jak tylko można, masę cierpienia. Jest to, w rzeczy samej, całkiem zgodne z logiką utilitaryzmu: mniej cierpienia, a więc, z definicji, więcej „szczęścia”. Inny utilitarysta mógłby odpowiedzieć: nieprawda, bo gdyby bilans „przyjemności” i „przykrości” systematycznie na korzyść tych drugich wypadł, to ludzie sami by się masowo uśmiercali, tymczasem tylko mały odsetek samobójstwo popełnia, skąd widać, że w sumie uważają, iż więcej mają rozkoszy z życia niż z nie-życia. Jest to odpowiedź możliwa, lecz niemądra, bo przecie nie tylko nikt takich rachub nie przeprowadza, ale ich przeprowadzić niepodobna, miary wspólnej nie ma, powiedzieć zaś, że ludzie intuicyjnie oceniają, że śmierć jest gorsza niż cierpienia żyjącego, gdyż nie odbierają sobie masowo życia, to powtórzyć jałową tautologię utilitarystów: ludzie dążą do przyjemności, a przyjemność to to, do czego ludzie dążą. Wedle zdrowego rozsądku młody Russell nie był bodaj w błędzie; jeśli założyć (jak chciał Schopenhauer), że przyjemność określa się negatywnie przez nieobecność cierpienia, to totalny brak cierpienia wynikły z unicestwienia ludzkości, należałoby (lecz kto?) powitać jako najlepsze rozwiązanie na ludzkie niedole.

Na ogół jednak tego nie chcemy i trudno nas do tej zdrowej konkluzji przekonać, a to nie dlatego, że coś sobie kalkulujemy („w końcu bilans jest dodatni”), lecz że instynktownie czepiamy się życia i, choć tego wyraźnie wypowiadać nie musimy, obecność życia, a życia ludzi w szczególności, utożsamiamy

z dobrem, a tym samym za zło uważamy to, co życiu przeciwne: śmierć i cierpienie. Nie jest to teoria żadna, lecz osobliwość życia samego, które chce trwać i nie pyta „dlaczego?”.

Od kiedy ludzie myśl swoją zapisywali, nie pytali „po co życie?”, lecz „po co zło?”; zarówno moralne zło, jak cierpienie chcieli „wytlumaczyć”: nie przyczynowo objaśnić, bo to często można, lecz w celowym porządku świata umieścić. Dla naturalisty, empirysty, materialisty, pozytywisty, to głupie pytania, nie wolno pytać „po co zło?” ani „skąd zło?” (prócz przyczynowych objaśnień), bo takie pytania zakładają już jakiś celowy ład, a wedle dogmatów tych doktryn ładu takiego nie ma i być nie może; nie ma też „zła” ani „dobra” w sensie własności prawdziwie rzeczom i zdarzeniom przysługujących, są tylko przyjemności i przykrości jako stany psychiczne. W świetle wszystkich tych doktryn świat nie staje się miłszy, ale staje się prostszy, a nawet znacznie prostszy.

Ale ci, co nadal pytają, zakazami filozoficznymi nie zstraszeni, nie mają dobrych odpowiedzi, albo, jeśli je mają, to takie, że innych nie mogą do nich przekonać wedle reguł logicznie niezawodnych. Bo przecież prawie wszystko, co w tej sprawie powiedzieć można i co teologowie przez stulecia mówili, zawarte jest w *Księdze Hioba*. Mało co dodać, do prawdy. Szatan, nie tylko z przyzwolenia Boga, ale na zasadzie wyraźnej z Bogiem umowy, ściga Hioba wszystkimi możliwymi nieszczęściami i bólem: wszystkie dziesięć dzieci powybijane, cały majątek stracony, bolesne i straszne choroby, Hiob na dnie nędzy i nieszczęścia, a jeszcze na pośmiewisko wydany. A gdzie Bóg, woła, na wschodzie Go nie widać ani na zachodzie, ani po lewej stronie, ani po prawej, gdzie Bóg, opiekun sprawiedliwy? Przychodzą bardzo mądzy ludzie, dziś byłiby profesorami zwyczajnymi na wydziale teologii, gdyby nie to, że mówią pięknie, wzniosłe, dramatycznie, porywająco. I mówią mu tyle mniej-więcej: grzesznikiem jesteś, Pan Bóg cię pokarał. I jeszcze mówią: pobożnemu Pan Bóg sprzyja, pomyślnością go wszelką obdarza, dobrodziejstwa zsyła, a złych w nieszczęścia wtrąca. Ale Hiob krzyczy, że to kłamstwa okropne: jakże to, każdy przecie wie, że najgorsi złoczyńcy

DOKOŃCZENIE NA STR. 3

Urszula Kozioł

★ ★ ★

Ta róża
która właśnie zakwitła w ogrodzie
nie zna żadnych o sobie sonetów
ani tej ody Ronsarda
(*mignonne, allons voir si la rose
qui ce matin avoit desclose
sa robe de pourpre...*)
ani wie kim on był

nie dba o rym wpisany do kunsztownej
strofy

ale wie
że jest różą.

Zrazu duka niewprawnie swój pęk
dyga
duka znów
dyga

a potem coraz płynniej
odgina płatek za płatkim
odgina zapach
i oblewa się pasem
składając raptem coś na kształt:
mignonne...

Teraz już wyraziście
sadowi się w podwojonym kwadracie
a-bb-a a-bb-a

dookreśla swoisty trójkąt
(koronę)
z łuku cdc
(wraz z jego lustrzanym odbiciem)

napina ten łuk

napina

wypuszcza strzałę —

i utrafia w samo sedno tej chwili.

CO NOWEGO
W PRASIE

Jarosław Iwaszkiewicz był najbardziej honorowanym pisarzem w ostatnim półwieczu. Tradycja ta została utrzymana, bowiem przypadającą 20. II. br. setną rocznicę urodzin autora *Sławy i chwały* uczczono niezwykle (jak na obyczaje kulturalne III RP) uroczystie. Polskie Radio zorganizowało niemal oktawę Iwaszkiewiczowską, w pismach ukazały się okolicznościowe artykuły, w Stawisku obradowała dwudniowa sesja naukowa z udziałem znakomych krytyków i naukowców z całego kraju. W tym roku przypadają jeszcze stulecia urodzin Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Juliana Tuwima i Kazimierza Wierzyńskiego. Nie wiadomo, czy wszystkie te rocznice będą czczone równie uroczystie, czy też Iwaszkiewicz został potraktowany jako osobistość wyjątkowej miary, lub też może jako *pars pro toto* grona swych rówieśników-skamandrytów.

„TWÓRCZOŚĆ”, której redaktorem naczelnym był przez ówczesny wiek Iwaszkiewicz, poświęciła mu w całości swój numer lutowy, ozdobiony imponująco bogatym zbiorem fotografii jubilat. Dla poznania jego osobowości szczególnie znaczenie ma publikacja długoletniej korespondencji Iwaszkiewicza z Mieczysławem Grydzewskim. Za swoisty dokument obyczajowy uznać można wybór dedykacji na książkach, w czasach PRL ofiarowywanych przezoswój ZLP przez różnych autorów. Nie brak wśród nich także nazwisk, znanych dziś z wielkiej aktywności w tropieniu literatów kiedyś „uwiedzionych przez reżim”; dedykacje tropicieli wyróżniają się szczególną solennością.

W prasowych wypowiedziach na temat życia kulturalnego coraz częściej nastrój katastroficzny zostaje zastąpiony tonem pogodnej rezygnacji, a nawet nutą umiarkowanego optymizmu. Dominuje obecnie pogląd, iż kultura wartościowa treściowo i artystycznie interesuje jedynie bardzo szczupłą elitarną grupę społeczną, co jest zjawiskiem naturalnym i jako takie powinno być przyjmowane ze zrozumieniem. Opinię taką wyrażają dziś także coraz częściej wybitni twórcy. Do optymizmu natomiast pobudzają informacje o sytuacji na tzw. prowincji, gdzie wbrew ponurym statystykom mówiącym o masowej likwidacji bibliotek, klubów, domów kultury, zespołów amatorskich itd., życie kulturalne nie zamiera, owszem nawet się rozwija, acz w innych niż dawniej formach. Opowiada o tym szczegółowo Piotr Sarzyński w artykule *Śmierć orkiestr dętych* („POLITYKA” nr 9).

Współczesna amatorska działalność artystyczna to, zdaniem Sarzyńskiego, odchodzenie od tradycyjnych zespołów folklorystycznych na rzecz zespołów teatralnych, muzycznych, tańca nowoczesnego. Ambitniejsze grupy stawiają sobie za cel *nie reprodukcję gotowych wzorów, ale ich tworzenie (...)* Ważniejsza okazuje się eksploatacja, poszukiwanie i odnajdywanie tego, co pozostało, aniżeli sam artystyczny „produkt”. Tak rozumiana działalność czerpie z różnych źródeł: z kulturalnej tradycji mniejszości narodowych, z wielkiej literatury klasycznej, z kultur egzotycznych, z form obrzędu i happeningu. *Znaleźć w tym można wszystko: szczytę Kolberga, trochę z buntu hippisów, ślad awangardy i postmodernizmu. W ten sposób zacierają się podział na codzienne życie i odświętną sztukę, jedno z drugim stale się przenika.*

P. Sarzyński zauważa, że pepinię tego nurtu kulturalnego są tereny wschodnie. *Protoplastą był niewątpliwie Teatr Gardzienice. Dziś tym szlakiem — choć każdy trochę inaczej — podążają m. in.: Towarzystwo Wierzyńskich, Fundacja Pogranicze, Fundacja „Muzyka Kresów”, Teatr Wiejski Węgiły, Bractwo Ubogich czy Orkiestra pod Wezwaniem Świętego Mikołaja.*

J. L.

RAZ W MIESIĄCU

„TWÓRCZOŚĆ”
o Iwaszkiewiczu

W stulecie urodzin Jarosława Iwaszkiewicza jego miesięcznik, „Twórczość”, poświęcił mu obszerny numer (2/1994), interesujący ze względu na zawarte w nim materiały.

Jak pisać o Iwaszkiewiczu-człowieku, pozostanie jeszcze przez jakiś czas problemem. Gdy chodzi o jego twórczość, istnieją dwa niedościgłe wzory, dwie dawne już książki, które uczą jak to robić i wyznaczają krąg pytań domagających się szczegółowego opracowania. Mam oczywiście na myśli monografię Jerzego Kwiatkowskiego i Ryszarda Przybylskiego.

Sprawa: konformizmu politycznego Iwaszkiewicza, w którym miał dalekich poprzedników w bizantyjskich fanariotach, jego obojętność moralna w twórczości, wreszcie przejawy zwyczajnej, ludzkiej małostkowości (snobizmy, zazdrości — te wady przypisują zresztą wspomnienia wszystkim po kolei Skamandrytom, w dodatku jedni z nich przypisywali je pozostałym, co stanowi cenę szczególną jak na polskie warunki uczynienia ich życiorysów wspólną własnością) — wszystko to przesłania coś o wiele ciekawszego; fenomen literackiego autoportretu wykreowanego świadomie przez Iwaszkiewicza. Nie został jeszcze zbadany i opisany, choć tropy są czytelne i prześledzone w odniesieniu do podstaw poezji i prozy. Zarówno Kwiatkowski jak i Przybylski, dzięki swojej kulturze literackiej i subtelności interpretacyjnej, byli najbliżsi atmosfery lektur, literackich i filozoficznych fascynacji młodego Iwaszkiewicza.

Numer Iwaszkiewiczowski „Twórczości” otwierają zdjęcia, każde warte komentarza, jak to, opisane przez samego pisarza: *1921 Dionizje* — nagie męskie ciało w łukowatym pochyleniu nad płynącą i błyszczącą świetlnymi plamami wodą — odpowiednik mitu Narcyza we wszystkich jego znaczeniach, zarówno psychoanalitycznych, jak i tych, które wiążą się z odbijającym świat żywo.

Jedyny tekst samego Iwaszkiewicza to nieznany fragment *Książki moich wspomnień* zatytułowany *Śmierć matki*, wersja, w której z bólem i precyzją opisane są ostatnie chwile osoby, nazwanej „symbolem samej esencji istnienia”. Pragnienie wiary w nieśmiertelność spleta się tu, jak w poezji i prozie Iwaszkiewicza, ze szczególnym widzeniem przyrody i pogody: „ona tak bardzo rozumiała, co jest pejzaż, pogoda, światło. A teraz umiera”. Wiersze poświęcone pamięci Jarosława Iwaszkiewicza są, jak często wiersze okolicznościowe, nierówne. Wśród nich *Jarosław Anny Kamińskiej* stanowi próbę lapidarnego uchwycenia fenomenu poety, *Na ścieżce drzewa* Tadeusza Różewicza wchodzi w dialog z *Ogrodami* Iwaszkiewicza (tam z kolei przywołany był Różewicz), lecz centralną dla autora *Uranii* symbolikę drzewa wprowadza w krąg czysto Różewiczowskich problemów. Powiodła się najbardziej ryzykowna próba — Jarosława Marka Rymkiewicza *Od kolejki w Podkowie*, wiersz, w którym na prawach „głosu podsłuchanego” przemawia duch poety w tonacji jego ostatnich utworów:

*Od kolejki w Podkowie drogą do Stawiska
A tuż nad nami żono dym i chmura niska
(...)
Byliśmy kiedyś piękni albo bardzo ładni
Jeśli chcesz to mi popraw ten tam mój błąd w składni*

Nie przekonuje mnie bardzo literacka forma „opowieści” Eugeniusza Kabatca *Pogoda burzy nad Palermo*. Prostota zapisu pamiętnikarskiego, dziennikowego czy listu zawsze lepiej przekazuje autentyczność dokumentarnego szczegółu, a z kolei przykład Iwaszkiewiczowskiej podróży-eseju stanowi tu wzór nie do doścignięcia. Kabatc nie jest ani Eckermannem Iwaszkiewicza, ani drapieżnym demaskatorem.

Głosy i powidoki Andrzeja Turczyńskiego opierają się na jednej z najważniejszych Iwaszkiewiczowskich antynomii: Wschodu i Zachodu, w ładnej metaforze bizantyjskiej mozaiki i galijskiego witraża.

German Ritz publikuje w „Twórczości” *Wyzwanie historii. Próbę literackiego odczytania opowiadań Iwaszkiewicza czasu wojny i odbudowy* i podejmuje trud rzetelnego, pozbawionego zbędnych emocji omówienia opowiadań z okresu, który narzucał interpretatorom-Polakom historyczne i polityczne klucze. Jak ich uniknąć (co nie znaczy pominąć je), można dowiedzieć się z tekstu będącego przekładem z niemieckiego. Równocześnie, w najnowszym, siódmym numerze „Tekstów” Ritz drukuje inny Iwaszkiewiczowski esej dotyczący problematyki nie mniej trudnej i dotychczas unikanej, choć z zupełnie innych powodów (*Iwaszkiewicz. Eros i sublimacja*). Ukryta a przecież prowokacyjnie jawna i wszechobecna u autora *Zenobii Palmury* symbolika homoerotyczna była w polskiej Iwaszkiewiczologii do pewnego czasu źródłem mniej lub bardziej wyszukanych i erudycyjnych metafor i omówi, później raczej tematem skandalizujących sugestii biograficznych niż twórczych interpretacji. Ritz wybiera zupełnie inną strategię, która nie dziwi nas, gdy czytamy analizy dzieł obcojęzycznych, choćby *Śmierci w Wenecji*: grupuje, klasyfikuje powtarzające się obsesyjne motywy, nazywa je i wyciąga wnioski. I tak na przykład w esej z „Twórczości” określa mianem „prasceny” wszechobecny u Iwaszkiewicza obraz kąpieli i wychodzenia z wody pięknego młodzieńca, podobnie odkrywa spłot sublimowanego pożądania męskiego ciała ze śmiercią, dokładnie: z owego ciała uśmierceniem. W przypadku obu artykułów bezsprzecznym osiągnięciem jest obiektywizacja i politycznej i erotycznej problematyki, wprowadzenie do niej ładu i klarowności, ceną zaś, którą jest nieuchronna, pozbawienie odczytania tej wielowymiarowości, którą przeczuwamy w trakcie lektury. Bogactwo kulturowych odwołań uruchamiane przez Iwaszkiewiczowskie obrazy, a zarazem ich bezpośrednia archetypowa siła to fenomen, w którym trudno się uporać.

Ostatnio wyzwaniu temu w pełni sprostał szkic Anny Sobolewskiej *Antynomia życia i wolności. Epifanie Jarosława Iwaszkiewicza z jej książki Mityka dnia powszedniego*. Tekstu na miarę tego szkicu czy wcześniejszych prac Maciejewskiej, Zaworskiej, Janion (same kobiety?) w najnowszym numerze „Twórczości” bardzo mi brakuje. Nie jest nim także starannie poprowadzona interpretacja *Panien z Wilka* pióra Jerzego Domagalskiego, która już przez swój tytuł *Iwaszkiewicz w poszukiwaniu straconego czasu* prowadzi nas na stary przedwojenny szlak proustowski i choć w końcu proustyzmowi zaprzecza nazywając opowiadanie „prezentacją motywu obokproustowskiego”, silnie inspirowanego przez filozofię Bergsona, pozostaje w kręgu wyznaczonym przez, sumiennie przywołanych, poprzedników. Także i w tym szkicu

przekroczone zostaje dotychczasowe tabu krytyki: ujawnione są chłopięce prototypy zamieszkujących Wilko panien. Wiedzieliśmy przecież o tym przy lekturze fragmentów *Książki moich wspomnień* poświęconych Byszewom, ale skoro „wszyscy piszący o *Pannach z Wilka* podkreślają subtelności i głębię przedstawionych tam kobiet”, łatwo zapominaliśmy o tym tropie. Przypuszczam, że warunkiem wstępnym całościowego, symbolicznego odczytania mitologii erotycznej Iwaszkiewicza jest interpretacyjne omówienie utworów o tematyce homoseksualnej: zarówno tej bardziej jawnej (*Przyjaciele* czy *Nauczyciel*) jak bardziej zamaskowanej. Warunkiem historycznoliterackiej rzetelności jest tu jednak wprowadzenie jako kontekstu twórczości licznych starszych i młodszych współtowarzyszy z dwudziestolecia międzywojennego: ustalenie, co na tamtym tle obyczajowym mogło być skandalem, a co zaledwie przejawem swoistej i bardzo powszechnej mody, figury kultury.

Małym biograficznym przyczynkiem jest tekst kolejny: Jedygi Klobukowskiej *Tropem młodzieńczej przyjaźni Jarosława Iwaszkiewicza z Mikołajem Niedźwiedzkim*.

Jeszcze jedno tabu polskiej, romantycznej kultury: bliskie sąsiedztwo narodowej zdrady i wierności odsłonięte zostaje jakby mimowolnie. W opublikowanej przez Andrzeja Biernackiego korespondencji Iwaszkiewicza z Edmundem Jankowskim na temat Elizy Orzeszkowej, którą cenili i lubili, przy okazji dziadka pisarki, rzekomego napoleońskiego, a w rzeczywistości carskiego żołnierza Iwaszkiewicz powołuje się na pogmatwane losy własnych przodków: „Mój dziadek miał medal za *usmierzenie polskawo miatieża*, a jednocześnie był na zesłaniu w Kaluźce i miał dwóch synów w powstaniu 63 roku, z których jeden przypłacił to życiem. To wszystko nie było takie proste, jak pan zresztą podkreśla”. Przekonanie pisarza, że polskie losy nie dają się zamknąć w łatwe patriotyczne schematy zaowocowało w opowiadaniach historycznych: powstańczym *Heydenreichu*, a zwłaszcza w *Nocy czerwcowej*, której bohaterka nie chce podążyć na Syberię za zesłanym mężem, bo powstrzymuje ją ziemskie, cielesne uczucie, łamiące normy moralności i patriotyzmu zarazem.

Materiałow, wartą uważnej lektury część numeru reprezentują również: duży blok korespondencji Iwaszkiewicza z Mieczysławem Grydzewskim, który podała do druku Małgorzata Bojanowska oraz dedykacje na podarowanych Iwaszkiewiczowi książkach wybrane przez Ewę Aleksandrę Cieślak (w gronie ofiarodawców są także osoby dzisiejszych przeciwników Iwaszkiewicza).

Niedosyt, który pozostawia lektura tego numeru „Twórczości”, zaspokoją być może inne publikacje „roku Skamandrytów”, ale i tak najciekawsze będą stopniowo docierające z kręgu Stawiska dokumenty: po publikowanym przez córkę dzienniku Anny Iwaszkiewiczowej nieznane listy, wreszcie kiedyś dziennik pisarza.

Anna Czabanowska-Wróbel

Angielskie
nagrody literackie

Nagrody chętnie się przyjmuje, ale — co właściwie jest warunkiem tej przyjemności — również chętnie się przyznaje. Przynajmniej na Wyspach. Wyrokuje różnią się między sobą, różne są więc kategorie, i różne typy zwycięzców.

Przyznawaną już od 25 lat słynną Booker Prize — prestiżową nagrodę w dziedzinie powieści — za rok 1993 otrzymał irlandzki pisarz Roddy Doyle za książkę *Paddy Clarke Ha Ha Ha*. Historia dziesięcioletniego chłopca, mieszkańca przedmieść Dublina to mieszanka śmiechu i łez. Fantastyczny świat dziecięcych zabaw i wyobraźni łączy się z żałośnie smutnym światem dorosłych, światem rozpadającej się rodziny chłopca.

Swoją nagrodę w dziedzinie beletrystyki przyznaje również „Guardian” i jego recenzenci. Za najciekawszą pozycję zeszłego roku uznali oni powieść Pat Barker pod tytułem *The Eye at the Door*. Powieść ta kontynuuje wątki znane już z poprzednich książek autorki, a mianowicie temat załamania psychicznego uczestników I wojny światowej. Główny bohater to prosty człowiek, oficer, były pacjent wojennego szpitala, który zajmuje się tropieniem pacyfistów.

Książka *The Blue Afternoon* Williama Boyda jest laureatką nagrody dla najmłodniejszej, najelegantszej i najbardziej czytanej powieści roku przyznawanej przez „Sunday Express”. Nic dziwnego: lata trzydzieste, tajemnica, polityka, romans, dreszczowiec, a wszystko to dzieje się w Los Angeles, New Mexico i Manili. Drugie miejsce przypadło w udziale Barbarze Vine i jej powieści *Asta's Book*. W formie dziennika opowiada ona przejmującą historię dziecka zgubionego w Londynie początku wieku.

Na tym nie koniec. Wyspiarze piszą i piszą, nagradzają i nagradzają! Whitbread Book of the Year to tytuł nagrody przyznawanej co roku w pięciu kategoriach: książka dla dzieci (w 1993 roku *Flour Babies* Ann Fine), debiut powieściowy (*Saving Agnes* Racheli Cusk), powieść (Joan Brady *Theory of War*), poezja (Carroll Ann Duffy *Mean Time*) oraz biografia (Andrew Motion *Phillip Larkin: A Writer's Life*). Spośród tych pięciu najlepszych specjalna komisja wybierze najlepszego (najlepszą), który (która) zgarnie niebagatelną sumkę 21 000 funtów angielskich.

Wspomniana przed chwilą Carroll Ann Duffy jest również laureatką Foward Poetry Prize 1993 — nagrody młodej, bo dwuletniej dopiero, ale finansowo najatrakcyjniejszej dla młodych poetów. Duffy zdobyła już 10 000 funtów za swój tomik *Mean Time*. Czytelnicy, natomiast, zyskali ciekawą antologię współczesnej poezji: *The Forward Book of Poetry* zawiera 90 najlepszych wierszy biorących udział w konkursie. To żywy i instruktywny obraz współczesnej brytyjskiej poezji. Można tam znaleźć laureatkę wyróżnienia za najlepszy pojedynczy wiersz, Judith Vicky Feaver oraz Dona Patersona, którego *Nil Nil* oceniono najwyższej w kategorii tomików debiutanckich.

Inna poetycka nagroda — i to już ostatnia, o której wspomnę — to T. S. Eliot Prize. Wnęcała ją w Chelsea Arts Club sama Valerie Eliot, a otrzymał ją Irlandczyk z Belfastu, Cioran Carson w uznaniu wartości jego czwartej książki poetyckiej *First Language*.

Magda Heydel

Uroki inkwizycji

Udręczenie

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

w dostatku, szczęściu i chwale dni swoich dożywają, a ja? Sprawiedliwy byłem, biednym pomagałem, nikomu krzywdy nie wyrządziłem, i oto zapłata?

Ale Pan Bóg się wtrąca. Pan Bóg wie — jasno to jest powiedziane — że Hiob pobożnym i sprawiedliwym był mężem. On go nie karze, on jego wierność w zabawie z szatanem wypróbowuje. I gdzieś ty był, powiada, gdy ja ziemię budowałem? I długą listę spraw wylicza, o których Hiob nic wiedzieć nie może i które, by odmienić, siły nie ma. O krokodylu mówi, o gazeli, o strusiu, o sokole, o śniegu i gwiazdach. Głupiś i niemocny, powiada, Pana nie pouczaj i nie skarż się.

Nie, Pan Bóg Hioba nie karze, Pan Bóg się Hiobem bawi. W sumie mówi mu: nie mędrkuj, bo nic nie wiesz. Pan Bóg nawet powiada, że profesorowie zwyczajni teologii nieprawdę mówili, ale nie wyjaśnia, na czym ta nieprawda polegała, więc i my nie wiemy. Hiob korzy się przed Bogiem i oto, okazuje się, profesorowie zwyczajni teologii jakby rację mieli, bo Bóg mu wszelkie dobra zwraca: znowu jest majętny, żyje długo i szczęśliwie i znowu ma dziesięciorgo dzieci (ale Dostojewski nie bez racji pyta: czy mógł Hiob o tych dziesięciorgu zabitych zapomnieć? Jakże to, nowe dzieci na miejsce pomarłych przychodzą i dobrze jest?).

Księga Hioba, dzieło mądrości pełne, jedno z najwspanialszych, jakie ludzkość wydała, nie tłumaczy nam w końcu zła i cierpienia, a tylko podsuwa radę: ufajcie Bogu, nie pytajcie, skarg przeciw miłością nie podnoście, choćby w najgorszych utrapieniach.

I do tego sprowadza się właściwie pouczenie tradycyjnych teodycei: nie tylko nie możemy zła wykorzenieć, ale w żadnym poszczególnym wypadku nie umiemy go boskimi zamiarami wyjaśnić, bo tych zamiarów nie znamy, możemy tylko, i powinniśmy ufać, że jest taki zamiar, że jest dobry i zdać się na Opatrzność. „Oddać Bogu swoje cierpienia”, jest to może najlepsza rada przez chrześcijaństwo podana. Ta ufność pomagała najgorsze udręki znoś świętym męczennikom albo siedmiu braciom Machabeuszom i ich matce, okrutnie na śmierć zakatowanym. Mistycy chrześcijańscy nieraz doświadczali poczucia, że świat cały, ze wszystkim, co o nim wiemy, jest przeniknięty miłością a cierpienie za nic mieli. Lecz niewielu jest do tego zdolnych.

Ale coż z tymi, którzy, jak małe dzieci, okropnie nieraz cierpią, a nie mogą w żadnym ładzie opatrnościowym bólu swego pomieścić? Tylko jedna jest na to spójna odpowiedź, mianowicie w teologii Augustyńskiej: dziecko z łona matki wychodzące, jest już w szponach diabła i zasługuje bez apelacji na ogień wieczny, póki ochrzczone nie będzie, jako że dziedziczy grzech pierworodny nie tylko jako zwyrodnienie natury, ale jako faktyczną winę, własną winę. Wszyscy nieochrzczeni, a więc ogromna większość rodzaju ludzkiego, do krainy wiecznych męczarni śpieszą, a z ochrzczonych także większość.

Doktryna ta jest, powiadam, spójna i wszystko wyjaśnia, ale upatrywano w niej, nie bez powodu, niepojęte okrucieństwo boskie. Kościół ją porzucił, ale pozbawił się zarazem spójnego schematu wyjaśniającego: dla Augustyna nie ma niewinnych, ale gdy się tej teorii poniecha, trzeba uznać, że niewinni cierpią, bez wytłumaczenia. I co, na przykład, ze zwierzętami, które wzajem sobie cierpienia zadają, a winy w nich nie ma?

Chrześcijańscy pisarze niewiele tą ostatnią sprawą się zajmowali, a najlepsze wyjaśnienie, jakie znaleźć można, jest takie, że diabeł porządek przyrody zepsuł i zwierzęta do walki, do wzajemnego pożerania się i kałeczenia przymusił. Może, lecz skąd o tym wiedzieć? Świat zwierzęcy jest pełen cierpienia, na które nie ma odkupienia, można tylko powiedzieć sobie, że na ogół są one krótkie: być może rybka przez większą rybę pożarta, cierpi, ale tylko przez chwilę; czy dżdżownica przepołowiona cierpi, tego nie wiem (ma jakiś bardzo prymitywny układ nerwowy), ale, jeśli tak, to też przez chwilę. Sprawy krewetek i karaluchów pominię.

Takich męczarni, jakie ludzie ludziom zadawali, żadne zwierzę nie znosi. Ludzie też muszą zwierzętom cierpienia zadawać, nie możemy bowiem żyć bez niszczenia innych form życia, jesteśmy organizmami, nie duchami czystymi, i chociaż słusznie się żąda, by te cierpienia minimalizować i względem tych, co niżej stoją na drabinie ewolucyjnej, okrucieństw się nie dopuszczać, to nie ma sposobu, by z przyrody cierpienie usunąć. Żądanie zakazu polowań jest niemądre: lis przez psy rozszarpany cierpi na pewno przez parę sekund, lecz w innym wypadku albo będzie przez inne drapieżniki rozszarpany albo z głodu zdechnie, a gluszczyk śrutem zabity mniej dotkliwieści chyba znosi, niż gdyby go bracia ptaki zadziobały albo z głodu czy mrozu zginął. Nie ma miłosierdzia w przyrodzie poza-ludzkiej i ludzie niewiele albo i nic do jej okrucieństw nie dodają.

Leibniz gładko się z rzeczą rozprawił; z dobroci i mądrości bożej wynika, że świat zawiera minimum zła i maksimum dobra, jak to jest logicznie możliwe, a Bóg sam logikę zmienić nie może. Więc wszystkie ludzkie udręki z nakazów logiki płyną? A może logikę zmienić? Leibniz był jednym z najmądrzejszych ludzi na świecie i tylko głupszy się z niego wyśmiewał. Wyjaśnił może, ale zgrozy i buntu na widok morza cierpienia to wyjaśnienie nie powstrzyma.

Niechby pojawił się nowy, nie-okrutny Augustyn, by rzecz rozjaśnił. Ale nie pojawi się, a nawet gdyby się pojawił, to bólu by nie zmniejszył, tylko wytłumaczył właśnie, tak czy inaczej. Nie wiadomo, czy najlepsze wyjaśnienie pomogłoby wiele, na przykład (jeden z miliona przykładów) braciom Templariuszom, którzy błagali, by ich żywcem ugotowano albo spalono, bo to śmierć krótka, a tych męczarni, jakim ich poddawali oprawcy, znieść nie mogą.

Prawie cała literatura, prawie cała poezja, prawie cała sztuka wyrosły z ludzkiego bólu; w niebie chyba sztuki nie ma. Duchem dzielni niechaj zmierzają i porównują „straty” i „zyski”.

Chrześcijaństwo głosi naukę o odkupieniu i życiu wiecznym, lecz nawet szczęśliwość wieczna cierpienia tutejszego nie wymazuje. Znany filozof z Cambridge, C. B. S. Broad, sądził, że jest życie pośmiertne, lecz że pociechy nie ma co w tym szukać, bo ten drugi świat jest jeszcze gorszy, niż nasz (o czym nie napisał wyraźnie w swojej rozprawie, lecz powiedział mi to nieżyjący Alfred Ayer).

Rad jestem samolubnie, że nie przyszło mi być kapłanem i nie mam obowiązku innym ludziom rzeczy tych tłumaczyć.

Leszek Kołakowski

* Esei Marii Podrazy-Kwiatkowskiej „Przeciw okrucieństwu” drukowany był w „DL” nr 16/93, wiersz zaś Czesława Miłosza „Do pani profesor w obronie kota i nie tylko” w nr 3/94.

Spalono na stosie milion niewinnych kobiet; wielkie zbrodnie XX wieku wyczerpały wydawało się, limity nietolerancji i świętej oraz nieświętej inkwizycji, a jednak nadal rodzą się w Europie nowe upiory i czasami coś burczy w brzuchach sfrustrowanych intelektualistów. To burczenie jest doprawdy niewinne w porównaniu z realnymi dramatami. Ale czemu burczą, skoro właśnie oni tyle przeczytali, tyle się napatrzyli i tacy są mądrzy? Zadają sobie to pytanie słuchając odgłosów, jakie wydobywają się z *Uroków dworu** Wiesława Pawła Szymańskiego, profesora, krytyka literackiego, autora książki o Przybosiu i analiz twórczości Tadeusza Nowaka. Ten krytyk z pisarskimi ambicjami — ów pisarski element, kto wie, czy nie zagrał pewnej roli w tej sprawie — zebrał swoje teksty z ostatnich lat, gdzie lustruje moralnie trzech pisarzy i jeden popularny tygodnik o nazwie „Przekrój”. Pyta m. in., jak to się stało, że tylu polskich pisarzy było na komunistycznym dworze i współpracowało z PRL? Szymański co prawda też współpracował, ale był na tyle młody, że mógł iść tylko na skromne kompromisy, stalinizm go jedynie polizał po dziecięcych stopach szorstkim językiem. No, a trzeba było jakoś żyć, na kompromisy szli wszyscy, co chcieli w tym kraju tak szczerze zapieczętowanym na cenzurę pisać i drukować. Zresztą podstawowe moralne pytania zaczęły dręczyć Szymańskiego bardzo niedawno, wcześniej, jak wskazują jego prace niegdyś drukowane, zupełnie go nie męczyły. Niektórzy ludzie, jak widać, dojrzejawają późno, a takie spóźnione owoce bywają bardzo przerosnięte, by nie powiedzieć zwyrodniałe.

Pragnę pospieszyć z wyjaśnieniem, że ja też rwę włosy z głowy czytając dzieła naszych pisarzy z czasów stalinowskich, i pamiętam swój gniew na kompromisy, na które szli pisarze w latach 60. i 70. Ten gniew zaprowadził mnie do drugiego obiegu niemal od chwili jego powstania w roku 76 i pracy dla niego do późnych lat 80. Tak, miałem wtedy poczucie, że każdy tekst poddany skalpelowi cenzora służy sprawie Imperium. Na szczęście nie zdążyłem zbudować na tym sądzie ideologii.

Szymański może mnie lustrować i nic bidak nie znajdzie, mucha nie siada. On sam chyba o wiele gorzej by wyszedł na takiej lustracji. Jak będąc jednak przeciwnikiem lustracji lustrować lustratorów? Sam jeszcze nie wiem, co z tym zrobić, czy się powstrzymać, czy pójść tym tropem? Jeżeli pójdę, będzie to częściowe zwycięstwo Szymańskiego; jeśli nie pójdę, to coż zasłodzi on na prawdzie tak niedbale zostawionej odlogiem, on czuły ogrodnik i pielęgniarz cudzych grzechów?

Co upoważnia nas dzisiaj do jednoznacznego potępienia tych, którzy szli w PRL na dalekie kompromisy? Jakże były granice tych kompromisów? Gdzie są dzisiaj miary? Niestety, granice i miary w tej dziedzinie są ruchome. Przed wieloma laty, gdy nie byłem jeszcze w pełni dorosły, pamiętam rozmowę z pewnym pisarzem, na którego powołałem się niechętnie, bo wkrótce wypomnę, że jest on dzisiaj nadużywany. Myślę o Zbigniewie Hercbie, który wtedy ubolewał nad niemożnością życia w PRL, mówiąc: „doprowadzono nas do takiej sytuacji, że wypicie wody z kranu (wtedy jeszcze nie kończyło się to zejściem z powodu zatrucia) jest aktem propanstwa, wspaniałym, wspierającym PRL”. Mówił to podkreślając absurdalność i bezwzględność takiej sytuacji. Wtedy jeszcze nie marzyła się nam prawdziwa opozycja i wówczas nie do końca go rozumiałem, a w pełni zrozumiałem dopiero po latach. Kto jednak nie wiedział wówczas o „wodnym paradoksie”, był narażony, bo życie w PRL było wędrówką wśród moralnych zasadzek.

Moja czy nasza miara oceny innych zmieniała się z latami; o ile wielce surowi byliśmy w stanie wojennym, co się zdarza w czasie walki, gdy kompromis zagraża determinacji, tak dzisiaj po naszym zwycięstwie, czemu nie napisać: gorzkim, skoro prawie wszystkie zwycięstwa są gorzkie, jesteśmy skłonni o wiele

CIĄG DALSZY NA STR. 9, 10



Grzegorz Bednarski *Poruszenie z postacią ekstazy*, 1987, (obraz z kuwetą), 190 x 320 cm, olej na płótnie. Muzeum Górnośląskie w Katowicach

Jarosław Fazan

Utopia Pana Cogito

Dzięki wznowieniu przez Wydawnictwo Dolnośląskie tomu Zbigniewa Herberta *Pan Cogito* mamy okazję przyrzeć się po dokładnie dwudziestu latach jednej z najważniejszych książek poetyckich wydanych w Polsce po drugiej wojnie światowej. Znaczenie tego zbioru, podobnie jak ewolucja polskiej poezji ostatnich lat dwudziestu, wykracza daleko poza sferę poetyki, czyli problemów czysto artystycznych. Zasadnicze pytanie, które dzisiaj — wobec powszechnie odczuwanego wygaśnięcia, a nawet bankructwa pozaliterackiego zaangażowania poetów — warto postawić, dotyczy tego, czy coś może zmienić się w sposobie odczytania *Pana Cogito*, czy całkowite przekształcenie kontekstu może skłonić do innego odbioru tej książki, czy też — zgodnie z pewnymi poglądami — odłożyć ją trzeba wraz z całą twórczością Herberta na półkę z szacownymi zabytkami narodowego piśmiennictwa.

Obserwowane od dość dawna, nie zawsze mądre czy eleganckie ataki młodych i najmłodszych poetów oraz programotwórców na starszych autorów, to sprawa niezbędnego kształtowania własnej tożsamości literackiej nowych pokoleń. Tożsamości, która zawsze w punkcie wyjścia potrzebuje wyraźnie negatywnego, a co za tym często idzie: niesprawiedliwego obrazu poprzedników, ponieważ pomaga młodym uwolnić się od niechcianego, a często też niekontrolowanego, ich wpływu. Zdecydowanie bardziej interesujące wydaje się zagadnienie wartości *bezwzględnej*, ponadczasowej i ponadkontekstowej konkretnych utworów, które Herbert zawarł w tomiku z 1974 roku.

Wiersze z *Pana Cogito* znamionują bardzo wyraźnie cesurę stosunku polskiej poezji do rzeczywistości PRL, właśnie znamionują, nie wnoszą bowiem żadnych nowych treści, ani też nie inicjują jakiegokolwiek konkretnego ruchu czy prądu. Stanowią wyrazistą konstatację pewnego stanu rzeczy, odpowiadającą postawie wielu pisarzy, uogólniają tym samym powszechnie wyznawane poglądy. Utwory z tego tomu w sposób niemal zupełnie jawny, dzięki wypracowanemu przez autora językowi głębokich, niedorażonych aluzji, deklarują dezaprobatę i sprzeciw wobec sytuacji człowieka w państwie zniewolonym przez *epidemię instynktu zachowawczego* (*Pan Cogito o postawie wyprostowanej*). Opowiadające o zakłamaniu i poczuciu nierzeczywistości wiersze Herberta kształtują, później zmitologizowaną na użytek społecznego oporu, opozycję poety — reprezentanta nie tyle zbiorowości sprawiedliwych, co samej — w pewien sposób abstrakcyjnej — postawy sprawiedliwego i anonimowych najemników mechanizmu ludzkiej historii — *szpiclów, katów i tchórzy* (*Przesłanie Pana Cogito*). „Okoliczności polityczne spowodowały „wspólnotowe” uproszczenie i upowszechnienie kreowanego, jeśli można sądzić z tekstów takich jak na przykład *Pan Cogito o postawie wyprostowanej*, na indywidualny użytek składu zasad. Nie od dzisiaj wiadomo, że adaptacja treści dzieła literackiego, samotnego głosu poety przez świadomość zbiorową prowadzi do zniekształceń, a właściwie do wytworzenia nowych zupełnie jakości. Powiedzieć więc można, iż bunt przeciw tej poezji jest dość często w istocie rzeczy protestem wymierzonym w zdegradowane formy zbiorowej świadomości, których ciśnienie odczuwają zarówno poeta jak i jego adwersarze. Niechęć do przebrzmiałych i skompromitowanych idei niedawnej przeszłości skazuje na zapomnienie *Przesłanie Pana Cogito*, tak jak kiedyś zaangażowanie i radość z odkrycia na nowo wspólnoty kazały widzieć w tym wierszu scenariusz zbiorowego działania. Powie ktoś, iż taka lektura była — i ciągle pozostaje — nie

tylko trafnym odczytaniem intencji autora, lecz także, że schemat moralizatorsko-martyrologiczny stanowi zasadniczą część samego tekstu, że takie zawężenie poetyckiej perspektywy jest fundamentalne dla poważnej części wierszy zawartych w *Panu Cogito*. Zniecierpliwienie i irytację wzbudzić może również fakt istotnej nieskuteczności przeciwstawienia demonizowanemu (nawet jeśli przez pogardę) wrogowi patetycznej retoryki, która zamiast oczekiwanej wolności przynosi uwięzienie w sztywnym paradygmacie biernego oporu i trwania. Pewnie znajdują się zwolennicy redukcji wartości utworów Herberta do inspirowanej w pewnym stopniu przez samego poetę pozytywnego powtarzania starych formuł, która zaburza zdolność do niezdeteminowanego obserwowania rzeczywistego świata, co wydaje się jedną z istotnych funkcji poezji. Z drugiej strony pytanie o inną zawartość tych tekstów na pewno ma sens, trzeba tylko podjąć ich lekturę bez uprzedzeń.

Czytanie *Pana Cogito* warto zacząć od wierszy dotyczących spraw najbardziej elementarnych, które decydują o tym, że tekst wydrukowany najczęściej w nierównej długości linijkach jest poezją, a nie tylko ją udaje.

poeta w pewnym wieku
w środku niepewnego wieku
(...)
zamiast hodować
bratki i onomatopeje
sadzi kolczaste eksklamacje
inwektywy i traktaty
(...)
poeta w porze niejasnej
między odchodzącym Erosem
a Thanatosem który nie wstał jeszcze
z kamienia

(*Pan Cogito a poeta w pewnym wieku*)

Jednym z głównych tematów całego tomu, współdecydującym o jego nadrzędnym sensie wydaje się dziwne doświadczenie starości. Jej oczywistymi wyznacznikami są skłonność do snucia wspomnień, tuszowane lekką ironią przeświadczenie o wyższości tego, co minęło nad teraźniejszością oraz wyraźne początki wyobcowywania się cielesności. Jednakże starość *Pana Cogito* polega przede wszystkim na rezygnacji ze ścigania rytmu czasu cywilizacji, jego zapatrzenie w przeszłość — pożywka ponadindywidualnej mitologii — jest gestem niezgody na *nowe dżungle porządku*, w których można:

zastąpić Homera
trzęsieniem ziemi
Horacego
lawiną kamieni

(*Pan Cogito a pop*)

Pan Cogito wyraźnie daje do zrozumienia, że jego starość jest tożsama z późnym wiekiem jego czasów, że dotkliwie odczuwa zużywanie się pewnego modelu kultury. Nawijanie do przeszłości prawie nigdy nie prowadzi do jej idealizacji, niemal zawsze prowokuje do przekształcania, które ma coś w sobie z demitologizacją, z demaskowaniem przesady i fałszywej, lub obumarłej wiary (*Historia Minotaura, Stary Prometeusz*). Wchodzący w starość poeta nie potrzebuje nieskazitelnego azylu, ale szuka — świadom jego sztuczności — miejsca poza historią i poza teraźniejszością. Tylko w przestrzeni poezji spełnia się to, co w rzeczywistości życia zbiorowego może stać się jedynie utopią. W *Grze Pana Cogito* marzenie poety zostaje nazwane *pośrednictwem wolności*. Niezwykle charakterystyczne wydaje się to, że pragnienie to najpierw konkretyzuje się:

trzymać sznur ucieczki/przemycać
gryps/dawać znaki, by na końcu przeistoczyć się w nierealne, oderwane współuczestnictwo: [*Pan Cogito*] przyjmuje rolę poślednią / nie będzie mieszkał w historii. Wiersze uzupełnione przez interpretatorów akcentami jednoznacznej polityczności pojawiają się obok utworów również „zaangażowanych”, tyle że inaczej. Jest w *Panu Cogito* kilka tekstów znakomicie uchwytujących proces wyskakiwania świata z akceptowanych przez poetę kolein.

inżynierowie wizualnej rozpusty
pracują bez wytchnienia

zziajani alchemicy halucynacji
produkują nowe dreszcze
nowe kolory
nowe języki
i rodzi się sztuka
agresywnej epilepsji

(*Pan Cogito o magii*)

uduchowienia i niezbędnego człowiekowi ładu. Opis Wielkiej Matki przeistacza ją w uniwersalną figurę Matki, a sam staje się kwintesencją poezji, która nie boi się nieoryginalności, bowiem w starych konwencjach odnajduje ślady odwiecznego sensu:

ześlij nam świętą wodę urodzajów
ty z której palców wyrastają liście
my urodzeni z gliny
jak ibis wąż i trawa
chcemy byś nas trzymała
w mocnych swoich dłoniach
(...)
nie chcemy innych bogów nasz
kruchy dom z powietrza
wystarczy kamień drzewo proste
imiona rzeczy

W wersji ostatnim pojawiają się dwa bardzo charakterystyczne dla Herberta elementy: kamień oraz drzewo jako równocześnie materialne i metaforyczne korelaty upragnionej, a nieosiągalnej dla



Zbigniew Herbert

Ten niezwykle sugestywny obraz ponurych stron współczesnej zachodniej cywilizacji kulminuje wizją nowego totalitaryzmu; wydaje się, że te dwa aspekty łączą się nierozdzielnie: upodlenie człowieka w świecie triumfujących szpicli jest odwrotną stroną jego depersonalizacji, której ulega tam, gdzie:

sztuczne raje
sztuczne piekła
sprzedawane są na rogu ulicy

(*Pan Cogito o magii*)

Wiersz ten kontrapunktuje utwór *Pan Cogito spotyka w Luwrze posążek Wielkiej Matki* poświęcony kontemplacji przedmiotu magii przynoszącej człowiekowi szansę autentycznego zrozumienia tajemnic życia i śmierci. Obrazowi barbarzyńskiego społeczeństwa zaawansowanego z wiersza poprzedniego przeciwstawia Herbert malutki przedmiot wykonany przez człowieka pozornie prymitywnego, urzekające i tajemnicze wcielenie

człowieka prostoty i doskonałości, a także określenie *proste imiona rzeczy*, zgodna z programem Herberta lapidarna peregracja języka poetyckiego. Realne przedmioty i zjawiska przenikają do tekstów Herberta z literatury, przefiltrowane przez rzeczywistość sztuki; wydaje się jednak, że nie pomniejsza to ich specyficznej wyrazistości.

Możliwość opisanego dostępnego zmysłom świata to rezultat szczególnego rodzaju kontemplacji, którą uprawia twórca *Pana Cogito*. Utworem poddającym się niewątpliwie politycznej interpretacji jest miniatura poetycka prozą *Żeby wywieść przedmioty*, cała druga część króciutkiego utworu jest opisem gwałtu na przedmiotach, którego cel mogą stanowić ich właściciele — prześladowani ludzie. Wydaje się jednak, iż zasadnicza warstwa znaczeniowa tego tekstu wiąże się z czymś zupełnie innym. Patrzenie i opisywanie świata prowadzi do nieuchronnego gwałtu, którym jest ludzka percepcja. Ceną zobaczenia i utrwalenia

CZYTANY

świata jest jego przemiana: *Żeby wywieść przedmioty z ich królewskiego milczenia, trzeba albo podstęp, albo zbrodni. Zdrajcą roztopiającym taflę drzewi może okazać się poeta, który dla opisanego tego, co poznał, musi wyrzec się konkretności i jedyności swego doświadczenia. Zamykający utwór obraz podpalonego domu, który gada wielomównym językiem ognia (...) to o czym długo milczało łóżko, kufry, zasłony, sugeruje że docieranie do nieuchwytnych seansów, ogrzanie tajemnic tego, co najwyklesze to okrutne zadanie poezji. Sednem *Żeby wywieść przedmioty* wydaje się paradoksalna myśl: poezja ocalając niszczy, kreując obraz świata odsuwa, unieważnia rzeczywistość.*

Powołaniem poety w związku z tym okazuje się cierpienie spowodowane bytowaniem na pograniczu własnego świata zbudowanego z doskonałych — *in abstracto* — konwencji poetyckich i nieobjętej, niepokojącej rzeczywistości.

więc kiedy dochodzi
do stanu że myśl jest jak woda
wielka i czysta woda
przy obojętnym brzegu

marszczy się nagle woda
i fala przynosi
blaszane puszki
drewno
kępkę czyichś włosów

(Pan Cogito a myśl czysta)

Przynależność do dwóch światów równocześnie, żartobliwie udosłowniona w utworze *O dwu nogach Pana Cogito*, gdzie lewą nogę przyrównuje się do Sancho Pansy, a prawą do błędnego rycerza, uniemożliwia jasną tożsamość, poeta jest zawsze niepokojąco blisko nicości. To, co wydaje się rzeczywiste — przedmioty wyluskane przez kontemplację — oddziela go od świata, który odstręcza i przeraża. Opisywanie jego kształtów, form prowadzi poza to, co istnieje, przenosi w sferę sztuki. Tam zaś zamieszkać się nie da.

Wiersz — próbka wyobcowania z samego siebie otwiera tom: *Pan Cogito obserwuje w lustrze swoją twarz* i dostrzega indywidualność zagubioną w biologiczności, nieodwracalnie roztopioną w nijakiej liczbie mnogiej gatunku. Oglądanie w lustrze swojej nie swojej twarzy inicjuje mroczną komedię historyzoficzną; przed oczami Pana Cogito przewija się film obrazujący narosłe przez dzieje przerażające i śmieszne cechy ludzkości — *tworzy odziedziczonej*.

To, przeciw czemu zwraca się patetyczny opór, jest częścią integralną osoby *Pana Cogito*, rzeczywiste oblicze to tylko karykatura marzeń, żalostny efekt autoreakcyjnych zabiegów. Jedyne dostępne sposoby reagowania na czającego się wewnątrz sobowtóra-wroga to rozpacz i gra. Pierwsza oznacza zgodę na unicestwienie, jest równoznaczna z uznaniem bezwarunkowej klęski. Prawdziwe i najgłębsze przesłanie *Pana Cogito* stanowi — być może — nobilitacja osobistej utopii, apologia gry o uniknięcie zniaczenia, które zagraża, ponieważ rozpada się język jedynej rzeczywistości serio (doświadczenia tego dotyczy wiersz *Pan Cogito myśli o powrocie do rodzinnego miasta*). Wszystko zostało utracone, rozpadł się cały sensowny świat. Pamięć o nim zmusza do poważnego i patetycznego myślenia o tym, co utracone; nieuchronne, choć skazane na niepowodzenie, próby odbudowania w cudzym świecie, w obcych, niepojętych słowach utraconego raju, zmuszają do szyderstwa, ironicznej maski rezygnacji z prawdy. *Pan Cogito* mówi językiem poety, czyli wygnanego i poniżonego kapłana, wędrownego błazna. Opowiada o smutnym losie człowieka wygnanego z królestwa jednoznacznych prostych imion rzeczy, snuje osobisty mit o utraconym mieście popiołów.

* Zbigniew Herbert: *Pan Cogito*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1994.

Marta Wyka

Wokół Martwej natury z wędzidłem

Zacznę od końca. „Cornelius Troost — kupiec bławatny — bohater nieznan historyi — umiera”.

Całe jego życie, podobnie jak nas wszystkich, jest umiarem, ostatnia zaś odsłona wygląda tak: „I wtedy zasłonią wszystkie lustra w domu i odwrócą wszystkie obrazy do ścian, aby wizerunek dziewczyny piszącej list, okrętów na pełnym morzu, wieśniaków tańczących pod wysokim dębem nie zatrzymywał w drodze tego, który wędruje ku światom niewyobrażalnym”.

Powiedzieć by zatem można, iż malarskie świadectwa rzeczywistości pozwalały żyć kupcowi bławatnemu. Były stosowną miarą, usprawiedliwiającą jego ziemską krzątaninę, utwierdzały go w życiu. „Światy niewyobrażalne” a więc poniekąd niemożliwe zaczynały się tam, gdzie kończyła się feeria przedmiotów, sytuacji, zatrudnień, mieszczących się w ramach zwyczajnej doczesności. Nic lepiej nie chroni przed śmiercią niż „śniadanie w cieniu starych wiązków, śmietana, poziomki, czereśnie, chleb razowy, masło, ser, wino, biszkopty”. Pikniki mogą unieszkodliwić apokalipsę, piękno zaś natury sugeruje, że istnienie jest równie harmonijne jak ona. Natura nie kłóci się z kulturą, nie pożera jej, los w zielonym sosie nie szkodzi metafizyce. Jeżeli nawet chwila ta jest złudą, epifanią, wątlm śladem na tragicznej powłoce wszechświata, należy ją pielęgnować i oczekiwać jej powrotu.

Czy Herbert chce ocalić mieszczański świat? — pytamy. A może — smak mieszczaństwa? I który właściwie świat — ten z obrazów namalowany, a więc i tak dostępujący wieczności, czy ten z obyczaju? *Martwa natura z wędzidłem* jest oczywiście książką o malarstwie i rajem dla historyka sztuki, ale ja usłyszałam w niej najpierw głos inny niż wytrawnego znawcy wielkich Holendrów. Ten odmienny głos prowadził do świata podróży Bolesława Micińskiego. A raczej bohaterów jego esejów, którzy wywodzili się z książek różnych, ale pisarz, wywołując ich duchy, powierzał im szczególne zadanie: mieli mianowicie swoją zwyczajną egzystencją stawić mężnie czoło śmierci. Czy to się udawało? Przypomnijmy: „...Pytają nas: co słychać? Odpowiadamy: „pomaluśku”. Sam Weller odpowiadał inaczej: — „jemy wołowinę na zimno z kaparami”. *Wesoło więc gra trąbka pocztowa w czystym powietrzu, rzeźko dudnią koła dyliżansu po źle brukowanych uliczkach małego miasteczka, dzwonią łańcuchy rogatki, a na zielonej murawie pod dębem Pan Pickwick, prezes klubu pykników, rozkłada piknik: pasztet, losos (...), pieczony drób i grzyby (...). A jednak Pickwick, skrzydlaty anioł w okularach i kamaszach, apostoł dobroci i radości życia nie uszedł śmierci i nosił ją w sobie (...). Dickens — człowiek, który jak by się zdawało ostatecznie pokonał już śmierć, który wyeliminował jej pojęcie z tajemniczego kręgu szerokich angielskich dróg, piwa, dobroci, porto, pasztecików, wołowiny, anielskości i musztardy — zamknął słodką mieszczańską Odyseję słowem ciężkim jak wieko trumny: śmierć. Na próżno wołamy jak mężny woźnica: występuj, Pan! występuj! Nikt nie szuka groźnej Pani czasu...*”

Holendrzy przechowujący zabobonnie przedmioty, sporządzający ich portrety („przywiązanie do rzeczy było tak wielkie, że zamawiano wizerunki i portrety przedmiotów, aby potwierdzić własne istnienie, przedłużyć trwanie” — pisze Herbert), utrwalający na wszelkie możliwe, w tym również malarskie, sposoby, codzienny obyczaj, czynili to samo, co w dwa blisko stulecia później, pan Pickwick i jego twórca, Dickens; uprawiali magię, aby zapewnić sobie nieśmiertelność. Zatem ich zatrudnienia to nie tylko prosta konsekwencja takiej czy innej mentalności (zakładamy, iż była ona mieszczańska...). Rzeczy, które wielbią, są amuletami, chroniącymi przed zagrożeniem metafizycznym. Mogą okazać się twierdzą i rajem, anulują bowiem egzystencjalny lęk. Herbert-poeta napisze w *Elegii na odejście*:

zostało mi niewiele
bardzo mało
przedmioty i współczucie

lekkomyślnie opuszczamy ogrody dzieciństwa ogrody rzeczy
roniąc w ucieczce manuskrypty lampki oliwne godność pióra
taka jest nasza złudna podróż na krawędzi nicości...

Pochwała „mieszczańskości”, którą skłonni jesteśmy odczytać z kart *Martwej natury*, dałaby się również opatrzyć Mannowskim pokrewieństwem: myślę o dotknięciu artystem, jakiego doznaje kupiec Tomasz Buddenbrook, ale też o sytuacji odwrotnej: nostalgii za mieszczańskim duchem doświadczanej przez artystę Tonio Krögera. To dwa bieguny tego samego przeżycia, sięgającego swoim rodowodem gdzieś w okolice Herbertowskich Holendrów: jak się przyjmuje, stulecie XVII miało zapoczątkować upadek wiary w harmonijny wzorzec wszechświata. Na razie nie widać tego jeszcze na obrazach. Ale Zbigniew Herbert — poeta XX wieku został już tym niepokojem dotknięty. Czy wiedząc, chce o tym wiedzieć?

Herbert — podróżnik i pilny obserwator holenderskiej pogody poszukuje najpierw źródeł malarskich inspiracji — pragnąłby odkryć „czym jest światło Holandii, tak jasne dla mnie w obrazach, a nieobecne w bezpośrednim otoczeniu...”. Jego studia meteorologiczne zamyka pewien widok posiadający walor wyrażenia symbolicznego. Po różnych feeriach świetlnych i kolorystycznych — fiolet, biel, „trywne różowości”, „operetkowe złoto”, następuje odsłona ostatnia: „...ustał wiatr. Zapaliły się i zgasty dalekie światła — i nagle, bez zapowiedzi, podmuchu, przeczucia, ukazała się wielka chmura o barwie

popiołu — chmura o kształcie rozszarpanego boga”.

Final przedstawienia nie godzi się z jego uprzednim rozwojem. „Rozszarpany bóg”, barwa popiołu, czyli akt rozbicia barokowej pełni sugeruje, iż wizerunki holenderskiej pogody były do pewnego stopnia idealizacją. Albo też współczesny poeta i obserwator nie widzi już tej pięknej pogody i urzekającego światła. Jego wrażliwość — nieufna i krytyczna — zmierza w innym kierunku; uderza go to, co „rozszarpane”, podzielone, a nie to, co tworzy całość. Ale jego zatrudnienia na tym również polegają, aby zbierać te rozproszone kawałki w strukturalną jedność. Czy dlatego tak kocha Holendrów, swoje potencjalne alter ego?

Mał Holandii przewinął się już przez polską poezję, tyle że służył on budowaniu stereotypu raju. Holandia budziła zatem arkadyjskie skojarzenia, trudno powiedzieć, czy przypadkiem tak jej użyto, czy też wybór był głębiej uzasadniony. Myślę o Gałczyńskiego „Holandii perle antykwariuszy” również o metaforze „słodkie kino Holandia”. W każdym razie „idea antykwariatu” jako swoistej przechowalni kultury z Holandią właśnie kojarzyła się poetom.

Holandia — ojczyzna przedmiotów utrwalaonych na obrazach, i Holandia — pejzaż wchodzący ze sobą w pewne szczególne związki znaczeniowe. Pejzaż nie ma w sobie nic wyjątkowego, niekończąca się równina grozi monotonią duchowi artysty. Po cóż więc wędruje po krainie bez tajemnic, odsłoniętej jak karta?

„W czasie codziennego deptania ulicznych bruków, muzealnych parkietów, nie opuszczała mnie dręcząca myśl, że wędrowki okażą się jałowe, jeśli nie uda mi się dotrzeć do interioru — wnętrza Holandii nie tkniętego ludzką ręką, tożsamego z tym, na jakie patrzył mój bohater zbiorowy: mieszczański holenderski siedemnastego wieku — tak, abyśmy zaistnieli w tej samej ramie, na tle wiekuiętego krajobrazu”.

Wejść w obraz, zaistnieć na obrazie razem z mistrzami? Czy o tym myśli poeta? W wierszu *Dawni mistrzowie* pisze: „Powierzchnie ich obrazów — są gładkie jak lustro — nie są to lustra dla nas — są to lustra dla wybranych...” W *Barbarzyńcy w ogrodzie* był zachwyconym i namiętym podróżnikiem w raju sztuki. W *Martwej naturze*... zdaje się odchodzić ostatecznie od tej pozycji czeladnika w mistrzowskim rzemiośle; być razem w wiekuiętej ramie może również (choć nie musi) znaczyć: być równym w sztuce...

Kult przedmiotów, tak wyrazisty w malarstwie holenderskim, zawsze zwracał uwagę krytyków. Pisał o tym na przykład Kazimierz Wyka w *Obronie Van Meegerena*, szkicu, notabene, czasem uderzającym zbieżnym w swoich szczegółowych uwagach, z Herbertem.

Herbert jednak dodaje plótnom mistrzów — „obrazy Holandii”. Ale nie ma w tych obrazach podobnej do Muratowa wylewnej sympatii dla kraju, który się opisuje. Bo Muratow był właśnie wylewny. Zachwyty nad Włochami ukształtował jego widzenie Italii, zaś moment historyczny, który wybrał, odczuwał jako szczególny. Domyślamy się, bo taka jest atmosfera tekstu, iż chciał ocalić obrazy Włoch w przededniu katastrofy: zbliżającej się I wojny światowej. Zajmował więc Muratow określoną pozycję historyzoficzną — choć wprost nigdzie tego nie napisał.

Doświadczenie Herberta jest oczywiście inne. Ale on również nie wypowiada go wprost. Próbowałam tutaj tropić eschatologiczny ton owego doświadczenia, pobrzmiewający raz po raz w kadrach *Martwej natury*... Symboliczny akt „wejścia w malowidło” to jakby wejście w nieśmiertelność. „Na zewnątrz”, poza ową „wiekuięta ramą” czają się demony rozpadu: szlachetny kształt może się zdeformować, łagodny wieczorny obłok zmienić w niespokojną chmurę, zaś wspaniałe, mieszczańskie stroje osłaniają śmiertelne kości. Herbert-historik sztuki, subtelny i dobitny jednocześnie, mówi również drugim głosem: ten głos, przytłumiony, lecz wyraźny oznajmia, iż poza obrazem jest nicość. Zakończenie szkicu o Terborchu: „Podziwiałem jak zaciekle walczyli o trochę dłuższe życie, niż było im pisane. Bronili się modą, akcesoriami krawieckimi, fantazyjnym zabotem, wymyślnymi mankietami, fałdą, zakładką, każdym szczegółem, który pozwoli im trwać trochę dłużej, zanim ich i nas samych pochłonie czarne tło”.

Doświadczenie ubioru, tego kostiumu ochronnego, zasługuje tutaj na baczną uwagę. Pod koniec XIX stulecia artysta, aby się bronić przed swoją filisterską epoką — rozbierał się; hasło „nagiej duszy” (pośród innych mu podobnych) oznaczało również zerwanie z mieszczańskim strojem, zarówno dosłownym jak duchowym. Malarze XVII stulecia sakralizowali ubranie swoich modeli. Ale nie udało się im uniknąć „czarnego tła” — czy też może oko współczesnego poety przede wszystkim to czarne tło przykuwa?

Martwa natura z wędzidłem da się czytać na różnych płaszczyznach. Jedną z nich, być może dotąd niedocenioną, prowadzi ku „metafizycznym podróżom” coraz częściej w twórczości Zbigniewa Herberta. Jest to, powtórzmy, „wędrowka ku światom niewyobrażalnym” gdzie obrazy są tylko chwilowym postojem poety. Czujemy, jak przedłuża on te postoje, tropiąc szczegóły, opisując kolory, tworząc apokryficzne fabuły i postaci. Relacjonując skrupulatnie „pierwszy plan” dzieła sztuki nie pozwala czytelnikowi nigdy zapominać o tle — w sensie podwójnym. Realnym i metafizycznym.

* Zbigniew Herbert: *Martwa natura z wędzidłem*, Wydawnictwo Dolnośląskie, Wrocław 1993.

Anna Potoczek Kapelusz

Był to piękny kapelusz, letni, jasnoczerwony, o rondzie zredukowanym do minimum z jednej strony, a wydłużonym z drugiej na kształt skrzydła, po którym wilo się fryzowane strusie pióro. Nigdy dotąd nie widział takiego kapelusza na żadnej kobiecej głowie, a tym bardziej nie widział nic podobnego w miejscu, w którym zobaczył go po raz pierwszy — dusznym i ciasnym sekretariacie instytutu naukowego, przylegającym do biblioteki, gdzie trafił w poszukiwaniu specjalistycznych czasopism.

Zauważył go od razu. Leżał na masywnej szafie pancерnej, zapakowany w worek foliowy, przez który widać było dokładnie jego kształt, kolor, wygięcie pióra i nawet cienką gumkę, jaką właścicielka, kobieta z pewnością bardzo wytworna, musi zakładać pod szczesany do tyłu węzeł włosów. Gdy zobaczył ten kapelusz, poczuł dreszcz i ogarnęło go wrażenie tajemnicy, przecucie, że natknął się na swojej drodze na coś szczególnego. Rozejrzał się dookoła w impulsive poszukiwaniu tej, do której nakrycie głowy powinno należeć. Lecz na próżno. Nie zobaczył nikogo prócz bibliotekarki, niedbałej kobiety zajętej segregowaniem sterty papierów. Była jeszcze młoda, ubrana w praktyczny strój, z szyją, mimo zamkniętych okien i znośnej temperatury, owiniętą w długi, robiony na drutach szalik. Obok jej łokcia stygła w szklance słaba herbata, a spojrzenie, które rzuciła mu na powitanie, nie wróżyło nic sympatycznego. Takie też, ośchłe i szare, było całe wnętrze. W regałach ustawionych pod ścianami zobaczył pliki wydawnictw i pudełka katalogów, na wielkim biurku stały dwie maszyny do pisania (dlaczego aż dwie? zadał sam sobie bezradne pytanie), a spoza stołu kalki i białego papieru, sterczały ułożone równo stosiki rewersów. Nie, pomyślał, ona nie może być właścicielką tego cuda.

Lecz nie śmiał zapytać o kapelusz wprost, od razu, w pierwszym odruchu. Bibliotekarka pozbawiała go ochoty do rozmowy. Krótco wyjaśnił, po co przyszedł i kto go tu przysłał, pokazał legitymację służbową, a ona, marszcząc czoło, pomogła mu odnaleźć wskazany tytuł. Pracowała jak maszyna, a z jej twarzy nie zniknął wyraz wysiłku. Sprawiała wrażenie pogrążonej w intensywnym monologu wewnętrznym, który dla niej samej musiał mieć znaczenie podstawowe, skoro wywiesiła na ścianie duże ogłoszenie, obwiedzione czarną ramką jak klepsydra, na którym przeczytał zwięzły rozkaz „Mów, o co ci chodzi, nie marnuj czasu i szybko wychodź”. Bez słowa podała mu kartkę rewersu. Podpisał. W sekundę potem rzuciła mu chłodne spojrzenie, które było pożegnaniem. Zawahał się. Spytała, czy może mu pomóc w czymś jeszcze. Zaprzeczył, robiąc dwa kroki w stronę drzwi, lecz gdy wyciągał rękę ku klamce, jego wzrok znów wymknął się w stronę szafy pancерnej, i, jakby wbrew sobie, a może właśnie najzupełniej w zgodzie ze sobą, jego usta wypowiedziały ciche pytanie: czy to kapelusz?

Zdażyła już odwrócić się do niego plecami, więc odpowiadając równie cichym „proszę?”, musiała odwrócić głowę, co pogłębiło grymas wysiłku na jej czołe. Widział, jak szalik zaciska się na jej szyi welnianą pętlą. Pytałem, czy to kapelusz, odparł niewinnie, wskazując na szafę i spoczywające na niej arcydzieło. Jaki kapelusz? spytała ze zdumieniem, podążając za jego wzrokiem, jakby nigdy wcześniej go nie spostrzegła. Ten, powiedział, wskazując palcem. Popatrzyła we wskazanym kierunku krótkowzrocznymi oczami. Ach ten... odparła wreszcie z westchnieniem, odwracając się w stronę drzwi. Ach ten... powtórzyła, kończąc jednym tchem, brzmiałym jak recytatyw: nie mam pojęcia.

Myślał potem wiele o tym zdumiewającym kapeluszu porzuconym na szafie pancерnej. Próbował wyobrazić sobie już nie tyle samą jego właścicielkę, co powody, dla których kobieta pozostawia kapelusz w miejscu tak mało do tego odpowiednim. Snuł hipotezy godne Sherlocka Holmesa, z których żadna nie wyjaśniała zagadki. Choć być może nie było wcale żadnej zagadki. Lecz jakże mogło jej nie być, skoro widział kapelusz na własne oczy, a bibliotekarka twierdziła, że leży na szafie od dawna, nikt go nie odbiera, nikt się do niego nie przyznaje. Owszem, gdyby chodziło o jej szalik, pomyślał, ta obojętność byłaby zrozumiała, lecz skoro w grę weszło coś tak rzadkiego, tak pięknego... Nie, z pewnością kryła się za tym jakaś ciekawa historia, i snuł ją w myślach przez pewien czas, lecz potem zaczął powoli zapominać o całej sprawie i zapominałby o niej może, gdyby nie przypadek, który sprawił, że odżyła z podwójną siłą. Tym drugim przypadkiem był inny kapelusz.

Ten drugi wisiał na wystawie sklepu sprzedającego używaną, lecz wciąż elegancką odzież. Teatry oddawały tam niepotrzebne rekwizyty, plajtujące sklepy dostarczały dodatki, a starsze panie, niegdyś bogate, przynosiły wzruszająco piękne torebki balowe, albo z pietyzmem zachowane wachlarze. Można tam było znaleźć guziki do toalet, jakich już od półwiecza nikt nigdzie nie nosił, meloniki i cylindry, smokingi i fraki, lekko już tylko pachnące naftaliną i wilgocią. W tym sklepie właśnie, za szybą, za którą z wieszaków spływały tiule i koronki, zobaczył kolejny kapelusz, przywołujący niejasne poczucie bliskości Nieznajomej.

Był szary, również letni i, podobnie jak tamten, ozdobiony kompozycją z piór i wstążek. Jego styl był spokojniejszy, rondo symetryczne i tylko w tyle głowy odchylone pod kątem ostrym, by zmieścić upiętą (tak to sobie wyobraził) masę włosów. Patrzył na niego z nagłą pewnością, że jest to kapelusz tej samej kobiety, i więcej jeszcze, że został kupiony w tym samym magazynie, w tym samym czasie. Choć nigdy jeszcze nie był w podobnym sklepie (a prawdę mówiąc, nigdy nie był w żadnym sklepie z damskimi kapeluszymi, nigdy nie widział z bliska tak dziwnych przedmiotów jak te, które tam sprzedawano: tych długich, błyszczących rękawiczek, puszków do pudru, podwiązek, flakonów na perfumy), zdecydował się natychmiast wejść do środka, dotknąć go i powąchać. Wszedł. Sklep przypominał głęboką jamę wydrążoną w głębi budynku. Tylko przy oknie wystawowym było jasno, dalej rozciągała się strefa cienia, wypelniona wieszakami i szeregiem serwantek. Sprzedawca, młody człowiek o sprężystych ruchach aktora, wstał zza stolika, na którym paliła się lampa z abażurem. Głosem zdecydowanym, w którym drżał jednak ton onieśmienia, gość wyjaśnił, że pragnie obejrzeć z bliska srebrny kapelusz.

W dotknięciu nie był wcale miękki, jak to sobie wcześniej wyobrażał. Został zrobiony z jakiegoś nieznanego mu materiału, sztywnego, lecz o polyskliwej powierzchni. Pióra z pewnością były prawdziwe, strusie? marabucie?, tak lekkie, że poruszały się przy oddechu. Miejsce, do którego je przymocowano, okrążyły sztuczne kamyki wtopione w czarną wstążkę. Pachniał ledwie wyczuwalnie, lecz przecież jednak wyczuwalnie i był to zapach inności, marzenia, magii. Obrócił go w ręce i zajrzał do środka. W głębi, na małej metce, przeczytał krótką nazwę „Rosemary”, a poniżej, literkami tak drobnymi, że ledwie je odcyfrował, wypisano to, czego się w głębi ducha spodziewał: New York N. Y.

Sprzedawca nie chciał jednak odpowiedzieć na pytanie, kto oddał go w komis. Wyjaśnił, że nie udziela się kupującym takich informacji, a poza tym chodzi o przedmiot będący własnością sklepu, o rzecz nie do sprzedaży. Tak, przyznał, to wyjątkowo piękny kapelusz i wiele osób pyta o jego cenę. Pani, do której należy (tu spuścił oczy, potwierdzając, że jednak wie, o kogo chodzi), jest zaprzyjaźniona z właścicielką tej galerii i pozwoliła ozdobić wystawę tym drobiazgiem. To wszystko, co może powiedzieć. A gdyby interesowały pana kapelusze, dodał odwracając się gestem Fidelia ku półce zawalonej stosem rupieci, mamy ich duży wybór.

Gdy wyszedł ze sklepu, miał w głowie duży zamęt. Szedł przez szare ulice ze spuszczonejmi oczami, nie zauważając błota na chodnikach. Kim była? Wyobraził sobie, że spotyka ją po prostu na ulicy, wpada na nią, ona upuszcza z ręki... lecz co właściwie miałaby upuszczać, rękawiczkę czy siatkę z zakupami?, a więc upuszcza coś na ziemię, on rzuca się, by to coś podnieść, podnosi i oto stają naprzeciw siebie, ona dziękuje mu, ma na głowie czerwony lub srebrny kapelusz, który on rozpoznaje, więc mówi, zgodnie z prawdą: ach, widziałem już kiedyś pani kapelusze i z ich powodu, czy to nie zabawne, pragnęłam panią poznać. Ona wysła mu jeszcze jeden uśmiech, jest brunetką albo blondynką, włosy ma upięte z tyłu, a jej czoło kryje rondo kapelusza. Odpowiada: a więc już się poznaliśmy i wsuwa mu pod ramię rękę w rękawiczkę. Potem idą gdzieś, nieważne gdzie, i on już wie, jest pewien, że odnalazł tę, której szukał, tę jedną jedyną, z którą mógłby być szczęśliwy.

Lecz nic podobnego nie zdarzyło się naprawdę. Na razie, pomyślał pbnuro, gdy jakiś autobus znieacka ochlapał go brudną wodą, na razie, życie bywa nieprzewidywalne, a los człowieka jest kwestią przypadku. Szedł przed siebie, nie potrącając po drodze żadnej kobiety, aż wreszcie odkrył, że znajduje się przed własnym blokiem, ma przed nosem znajomą bramę, śmietnik i domofon. Lecz gdy wchodził na schody, przyszedł mu do głowy pewien plan. Jeśli istotnie dwa kapelusze, które widział w różnych miejscach, należały do jednej kobiety, znajdzie sposoby, by odkryć, kim ona jest, odwoła się do własnej inteligencji i drogą dedukcyjną zdoła ją odnaleźć!

Następnego dnia wrócił do instytutu, lecz nie wchodził wcale do biblioteki, lecz pod pretekstem umówienia się na rozmowę z profesorem, poszedł wprost do głównego sekretariatu, w którym pracowała starsza i znająca to miejsce na wylot sekretarka dyrektora. Widział ją zaledwie kilka razy, ale przeczuwał, że uda mu się wciągnąć ją w dłuższą rozmowę. Miał słusność. Profesora nie zastał (chwała Bogu), ale chętnie przyjął zaproszenie na herbatę. Rozmawiali o kryzysie ekonomicznym i złym stanie funduszy na naukę. Delikatnie próbował skierować dialog na stypendia naukowe. Przyznała, że jest z tym kruczo, choć w przeszłości wielu z pracowników instytutu wyjeżdżało za granicę. Tak, przyznał skwapliwie, wydaje mi się nawet że, będąc jakiś czas temu w Nowym Jorku, spotkałem kogoś od państwa. Nie mogę sobie teraz przypomnieć nazwiska, to był... to był... Skinęła głową. To był z pewnością doktor M., powiedziała łagodnie, tylko on był w Nowym Jorku jakieś dwa lata temu. Tak, wykrzyknął, to musiał być on. Poznałem także jego córkę, która, przypominam sobie teraz, lubiła nosić ekstrawaganckie kapelusze... Wstrzymał oddech, całkiem niepotrzebnie, bo wszechwiedząca sekretarka nie podejrzewała niczego. To nie była jego córka, powiedziała ścisząc głos, to była jego żona. A raczej jego była żona, bo rozwiedli się wkrótce po powrocie. Owszem, lubiła kapelusze. Biedny doktor M. zachował jeden na pamiątkę i nie rozstawał się z nim nawet w czasie pracy. Był naprawdę zrozpaczony. Potem coś się z nim stało, to znaczy z kapeluszem, a nie z doktorem, choć w jakimś sensie z doktorem także, bo powiem panu w ścisłym sekrecie (tu nachyliła się w jego stronę i dokończyła szeptem, choć byli sami, tylko ich dwoje, ona i on), że ta kobieta, która w żadnym razie nie zasługiwała na kogoś tak jej oddanego, odchodząc, zlamala mu serce!

Zdobycie informacji okazało się zatem dziecinnie łatwe. Nie słuchał dłużej, dumny z własnej przenikliwości, choć rozmawiali jeszcze kilka minut. Cóż go obchodził porzucony doktor M.! Trudno, takie sprawy zdarzają się codziennie. Powinien być dość przewidujący, pomyślał o doktorze M. z lekceważeniem, by w porę zdać sobie sprawę, kogo ma przy swoim boku. Gdybym to był ja, dodał w myśli, wiedziałbym, jak trzymać w czułych ryzach taką zdobycz. Kapelusze świadczą o jej charakterze lepiej niż mina sekretarki. Z pewnością jest bystra, obstarująca przy swoim zdaniu, a przy tym słaba i potrzebująca wsparcia. Ma nienaganny gust, a więc wciąż potrzebuje pieniędzy. Ludzie, których już poznała, szybko zaczynają ją nudzić. Ma w sobie coś kociego. Lubi przgody. Z pewnością jest ciekawa świata, zmian, nieznajomych...

Przed wyjściem wstał na portiernię i modląc się w duchu, by nieznany mu doktor M. nie znalazł się przypadkiem w tym samym miejscu, poprosił portiera o numer jego telefonu. Doktor M. nie ma telefonu, odparł portier. Wiem, powiedział spokojnie, chciałem prosić o jego poprzedni numer, pod który muszę pilnie zadzwonić. Upoważnił mnie do tego, skłamał. To ważna sprawa. Czekam...

Mając numer w notesie, biegł w stronę tramwaju jak na skrzydłach. Poznam ją, myślał, poznam ją na pewno. Zrozumiemy się. Polubimy. Z pewnością ten przypadek z kapeluszem zaważył w jakiś sposób na naszym życiu. O ile to był przypadek, bo niewykluczone, że w życiu ludzkim nie ma przypadków. Wszystko co się nam zdarza, jest wcześniej sekretne ustalone, każde istnienie ma walor cybernetyczny, wchodzi w skład programu, którego algorytmem jest Okazja. Nie wolno jej zmarnować. Nie wolno. Tak musiało się stać, kapelusze są kodem mówiącym, że zostaliśmy dla siebie stworzeni.

Oczywiście nie był pewien, czy ona mieszka wciąż jeszcze pod dawnym adresem (sprawdził go po przyjeździe do domu w książce telefonicznej), ale przeczuwał, że tak właśnie jest i że zastanie ją pod podanym przez portiera numerem. Był więc przykro zdziwiony, gdy numer nie odpowiedział. Zadzwonił znów po godzinie, z tym samym skutkiem. Następnego dnia znów zadzwonił i znów nikt nie podniósł słuchawki. Monotonny sygnał rał jego uszy. Dzwonił wiele razy o różnych porach, aż wreszcie, mniej więcej po tygodniu usłyszał informację automatycznej sekretarki. Męski (? ? ?) głos oznajmił, że gospodarzy (? ? ?) nie ma w domu, lecz proszą, by zostawić wiadomość nagrą na taśmę. Zawiedziony, prawie dotknięty, odłożył słuchawkę na widelki. Nie tego się spodziewał.

Po namyśle, postanowił nawiązać z nią kontakt całkiem inaczej. Znowu poszedł do sklepu z ubraniami i sprawdził, czy kapelusz nadal leży na wystawie. Leżał. Ku jego zadowoleniu sprzedawcę o gestach aktora zastąpiła wąła dziewczyna o twarzy jak z obrazów prerafaelitów. Przedstawił się podając drugie imię i oznajmił jej, że przychodzi w sprawie osobistej. Jest dawnym kolegą pani M., o której wie, że jest znajomą właścicielki tego sklepu. Wrócił przed kilkoma dniami z dłuższego pobytu poza krajem i chciałby nawiązać z nią kontakt. Z nieznanych mu powodów jej telefon nie odpowiada, być może wyjechała, albo wyjechała, a on nie wie kto mógłby udzielić dotyczących jej osoby informacji. Czy galeria zechciałaby pomóc mu w tym kłopotcie?

Dziewczyna podniosła na niego oczy koloru niezapominajek i w zageszczonym świetle płynącym przez abażur, zobaczył regularny owal jej twarzy. Nie wydawała się zdziwiona, nie potakiwała ani nie zaprzeczała, słuchała w milczeniu, które ośmieliło go do dodania na okrasę kilku zmyślonych szczegółów. Pani M. ? spytała wreszcie łagodnym tonem, pasującym jak ułai do jej urody. Doprawdy nie wiem, jak panu pomóc, powiedziała po chwili wahania. To ja prowadzę tę galerię, ale nie mam pojęcia, kim jest poszukiwana przez pana pani M.

Tego było zbyt wiele. Zerwał się z krzesła, na którym przysiadł, i pobiegł do wystawy. Ależ pani M. jest właścicielką tego kapelusza, wykrzyknął prawie z gniewem, wskazując na srebrzyste чудо, chwytając je do ręki i sprawując, że marabucie pióra zafalowały gwałtownie. To jej kapelusz! Widziałem ją w nim wiele razy, kupiła go na moich oczach w Nowym Jorku, w magazynie „Rosemary”. Ten kapelusz z pewnością należy do niej! Pamiętam dokładnie, miała go na głowie żegnając mnie przed dwoma laty na lotnisku Kennedy’ego. Proszę powiedzieć mi prawdę, gdzie ona jest? Czy jest zdrowa? Na miłość boską, proszę mi powiedzieć choć to, czy ona żyje?

Sam nie wiedział, dlaczego to mówi. Te kłamstwa, tak łatwe do sprawdzenia, wypłynęły z jego ust naturalnie, jakby pani M., czy kimkolwiek była właścicielka kapelusza, istotnie należała do jego znajomych. Kapelusze musiały pomieszać mu w głowie. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się nic podobnego, uważał się za człowieka nauki ścisłej, który zawsze jest w stanie kontrolować, co mówi, a nawet to, o czym nie myśli. A nie miał przecież zamiaru robić z siebie blazna i to wobec kobiety, której nie znał i która mogła przecież być panią M. we własnej osobie! Doprawdy, działo się z nim coś niezrozumiałego i zdawał sobie z tego sprawę, gdy znów spojrział na dziewczynę.

Ona zaś przyglądała mu się z uwagą, ale i z lekkim rozbawieniem. Zauważył, że miała niezwykle kolor włosów. Były ciemnorude, rozpuszczone na plecach, na skrętach lśniące odcieniem odcyszczonej miedzi. Jej młodziutka twarz nie mogła kłamać, ale przysięgłby, że w kącikach pięknie wyciętych ust kryło się coś fałszywego. Miała na sobie prostą i z pewnością kosztowną suknię, pozbawioną ozdób. Naprawdę jest ładna, pomyślał nagle, powtarzając jeszcze raz: czy ona żyje? Po czym zerknął na dziewczynę, by sprawdzić efekt, ale ani drgnęła i pomijając drobną faldkę kpiny, pozostała spokojna, pełna godności, nieodgadniona. Jej błękitne oczy patrzyły w jego oczy wprost, gdy powiedziała: pan myli ze sobą różne kapelusze. Ten, który widzi pan na wystawie, nie może należeć do nieznanej mi pani M., ponieważ należy do mnie. To mój kapelusz. Nigdy nie byłam w Nowym Jorku. Przykro mi, ale w żaden sposób nie mogę panu pomóc.

Gdy wyszedł na ulicę, czuł się tak upokorzony, że z wściekłości brakowało mu tchu. Gdziekolwiek chowa się ta M., znajdzie ją i zemści się za wciągnięcie go w pułapkę. Choć zdrowy rozsądek podpowiadał mu, że nie ma żadnej pułapki, to tylko zbieg okoliczności, podobieństwo kapeluszy, które nie musiały należeć do jednej kobiety. Jednak wewnętrzna pewność wyla w nim zranionym głosem, że owszem, jest to pułapka, zastawiona przez istotę powstałą z symbiozy Ewy i węży. Od początku poznał się na niej. Już tamten czerwony kapelusz kazał mu o niej myśleć jak o ślikskiej jaszczurce, gotowej umknąć w każdej chwili pomiędzy trawę i kamienie. Lecz to jeszcze nie koniec, myślał z uporem. Nawet jeśli ona nie wie jeszcze o jego istnieniu, przyjdzie czas, gdy się



o nim dowie, a wtedy... I idąc po omacku drogą znaną na pamięć, obmyślał tortury, które zada jej, gdy już ją odnajdzie, zobaczy, pozna, dotknie, poczuje jej zapach, włoży na jej głowę któryś z kapeluszy i zakładając gumkę pod włosy, przemknie palcami po raz pierwszy przez delikatną skórę karku...

Przekłękane kapelusze zaczęły śnić się mu po nocach. W snach wchodził do wielkiego magazynu i błądził pomiędzy szafami pełnymi różnych nakryć głowy. Widział kapelusze damskie i męskie, kapelusze z piórami, woalkami, do konnej jazdy i wielkie, białe kapelusze ślubne: spływały z nich welony, w które wplątywał się, wchodząc do wnętrza coraz głębiej. Brał je do ręki i sprawdzał wszyte od środka metki, pochodzące z poplątanych ze sobą miejsc. W sklepach ze snów nie widział ludzi, chodził po nich samotnie, napotykając po drodze nieruchome manekiny. Sztuczne kobiety patrzyły na niego szklanymi oczami, w których znajdował wciąż to samo — nic. Budził się niespokojny, z uczuciem niespełnienia i złości.

Po kilku dniach znów zadzwonił i usłyszał uciążliwy głos sekretarki. Cisnął słuchawką i w jęku plastiku o plastik zabrzmiło coś, co było bliskie jękowi jego ambicji. Teraz już wiedział na pewno, że musi ją odnaleźć. Musi. Choćby to była tylko jedna chwila, jedna jedyna, potrzebna mu na potwierdzenie, że nie jest godna jego uwagi, tych wszystkich anonimowych, beznadziejnych starań...

Któregoś popołudnia, upewniwszy się wcześniej przez szybę, że w środku dyżuruje aktor-sprzedawca, wrócił do sklepu. Młody człowiek nie poznał go, tak przynajmniej wyfrkalo z miny, uprzejmie obojętnej i chłodnej. Wszystko się powtórzyło i rzeczywistość zmieszała się z aurą snów. Chodził po sklepie, udawał, że ogląda suknie na wieszakach, dotykał z roztargnieniem wyłożonych na tacach bibelotów. Wreszcie podjął decyzję. Podeszedł do sprzedawcy, wskazał ręką kapelusz i wyznał cicho, niemal szeptem, że chciałby przekazać pani, która jest jego właścicielką mały bilecik. Chodził tylko o kilka słów, powiedział, o nic naprawdę ważnego. Byliśmy sobie kiedyś przedstawieni, dodał, a potem znajomość, ku memu żalowi, urwała się nagle... Czy mogę liczyć, że przekaże pan jej list do rąk własnych?

Sprzedawca skinął głową, a w jego oczach nie było ani zdziwienia ani nawet iskry ciekawości. Podniósł się zza stołika i wskazał gościowi stylowe krzeselko. W świetle płynącym z abażura, siedząc na miejscu, z którego patrzyła na niego ruda pannica, zaczął pisać list na papierze wyciągniętym spod naukowych referatów. Czuł, że palce ma sztywne; z zimna, albo ze wzruszenia. Postanowił napisać prawdę. Stylem zwięzłym, prawie telegraficznym, opisał historię Tajemnicy, jaka związała się w jego umyśle z widokiem dwóch napotkanych przypadkiem kapeluszy. Nieporadnie formułując kolejne zdania, opisał jej (bez wdawania się w drobne podstępki i kłamstewka), dzieje daremnych poszukiwań, które pozostawiły w nim duchowy głód. Wyznał bez ogródek, że chciałby ją poznać, zobaczyć. Opisał siebie jako naukowca, badacza, człowieka nieśmiałego i poszukującego pokrewnej mu wrażliwości. Poprosił o odpowiedź w formie, jaką Ona uzna za stosowną. Niech to będzie list, zwrótny przekaz ustny pozostawiony w sklepie (choć przeszły go ciarki na myśl o ponownym spotkaniu oko w oko z właścicielką niebieskiego spojrzenia), albo po prostu data, miejsce i godzina spotkania, przypięte na karteczce papieru do ronda kapelusza. Zakończył kanciasto usprawiedliwieniem swojej odwagi, ale, jak to ujął po chwili namysłu, nie znajduje innej drogi porozumienia z Tą, która dotąd pozostawała niedostępna.

Odał sprzedawcy list zaklejony w kopercie, jaką ten zdołał odnaleźć na zapleczu, w stosie rupieci. Zaadresował ją podchwytliwie do pani M., zerkając spod oka na młodego człowieka, który jednak ani drgnął. Koperta pachniała nikłym zapachem czegoś, co było wszechobecne w tym wnętrzu, ale też w jego pamięci.

Następnej nocy znów śnił mu się kapelusz. Był to sen o aurze koszmaru, podobnie intensywny jak jego dawne, młodzieńcze sny o oblaniu matury albo o gonieniu odjeżdżających pociągów. Obudził się w środku nocy, złany potem. Leżąc w ciemności, pośród śliskiej pościeli, tłumaczył sam sobie, że przecież nic mu nie grozi. W najgorszym razie nie pozna jej nigdy, lecz jakie to w gruncie rzeczy może mieć znaczenie. Lecz gdy pomyślał raz jeszcze że tak, ona prawdopodobnie wcale nie odpowie, ogarnął go jakiś ostry smutek i gdy obudził się wcześniej rano, ten smutek trwał. Pod jego wpływem, znów jak w transie, zmienił na godzinę ustalony harmonogram dnia i zamiast, jak zawsze, pojechać tramwajem do pracy, wybrał się w absurdalną wycieczkę do instytutu, by sprawdzić czy czerwony kapelusz wciąż jeszcze leży na szafie pancерnej. Wszedł do biblioteki jak w sytuację znaną na pamięć, w której wszystko powtarza się obsesyjnie. Zobaczył szafy, regały, dwie maszyny do pisania, zapętlony na szyi sekretarki wełniany szalik. Spojrzał w bok i wstrzymał oddech. Na szafie nie było nic. Natychmiast uznał to za skierowany wprost do siebie znak.

Od tamtego dnia przez kolejny tydzień żył w napięciu. Codziennie przechodził obok wystawy sklepu, wpatrując się w szary kapelusz, jakby w nadziei, że i on także zniknie. Ale kapelusz wisiał na wieszaku jak przyklejony klejem, a za abażurem, przy stoliku, siedziała uparcie ruda sprzedawczyni. Bał się wejść, choć kiedy indziej z łatwością obróciłby całą tę historię w średniej klasy żart. A przecież tym razem było inaczej. Zatrzymywał się za szybą, w pozorowanej nadziei, że nie zostanie zauważony i gapił w stronę wnętrza. Sam nie wiedział, czego się spodziewa. Przeżywał jakiś całkiem dla siebie nowy stan zauroczenia, w którym normalne reakcje zostały zawieszono. Nie wiedział, co o nim myśleć, więc nie myślał, skradął się tylko poza witrynę, wypatrując posłańca, który przyniesie mu, być może, wieść od Nieznajomej. Siódmego dnia właścicielkę zastąpił zrezygnowany pan, co zauważywszy, bez chwili wahania nacisnął klamkę drzwi wejściowych i wszedł.

Wszystko w tej historii było jakoś banalnie zaskakujące, pomyślał potem, ale chyba najbanalniejsza była reakcja sprzedawcy. Spojrzał na wchodzącego rybem spojrzeniem i już w chwilę później grzebał w stosie szpargałów ułożonych na stoliku. Wyciągnął z nich list. Proszę, powiedział, oto odpowiedź.

Kilka równych linijek skreślonych zostało na białej kartce nie wyróżniającej się niczym szczególnym. Pani M., podpisana w dole kartki pełnym imieniem i nazwiskiem, oznajmiała, że chętnie spotka się z nieznajomym. Wzrusza ją, że tak bardzo zaintrygowały go jej kapelusze. Podala godzinę i datę spotkania, wypadającą akurat wieczorem tego samego dnia i w stylu całkiem bezpretensjonalnym podjęła propozycję zawarcia znajomości. Wszystko się zgadzało. List świadczył, że jest prawie taka jakiej się spodziewał, a przecież przy stoliku kawiarni, patrząc na zmęczoną twarz niemiłodej kobiety, czuł zawód równie szyderczy jak spojrzenie rudej panny. Nie nosiła kapelusza. Włosy, o barwie sztucznie słomianej, nie były wcale zawinięte w węzeł, ale opadały mizernymi pasmami na chude ramiona. Jej wzrok, owszem, miał w sobie coś kociego, ale było to raczej spojrzenie głodnego kota, niż kotki biegnącej z wdziękiem po blaszanym dachu. Szybko opowiedziała mu kolejne swego życia, w którym nie znalazł nic godnego uwagi. Patrzył na nią, czując rosnący zawód i myślał z goryczą, że z własnej woli stał się aktorem spektaklu rozpadań się marzeń. Lecz cóż miał robić. Przez godzinę udawał zainteresowanie, a na koniec, z głupiego pocucia obowiązku, umówił się na następne spotkanie. Nie przyjdę, postanowił z góry, odprowadzając ją na przystanek. Autobus nadjechał, wsiadła, z ulgą i złością przyglądał się zamykaniu automatycznych drzwi. Potem zaczął iść przed siebie, wprost przed siebie i choć wcale tego nie chciał, znów znalazł się przed witryną sklepu. Sklep był już pusty, lampa paliła się w środku, a srebrny kapelusz wisiał tuż, tuż, za szkłem. I właśnie wtedy, widząc kolejny raz jego delikatny kształt i kolor, kamyki na czarnej wstążce, pióra, poczuł że zaszła pomyłka, kapelusz nie może należeć do kobiety, którą pożegnał przed chwilą, a ta której szuka, żyje gdzieś, choć nie wiadomo gdzie, żyje, czekając na niego z tą samą intensywnością, z jaką on czeka na nią. Był świadom, że to przekonanie nie opiera się na niczym konkretnym i być może jest tylko zwiastunem obłędu, ale jeśli istotnie był to obłęd, chciał mu się poddać, rzucić całym sobą w tę pierwszą w życiu nielogiczność, absurd, ekstazę. Stanął bliżej szyby, rozejrzył się i nie widząc nikogo w promieniu dwudziestu metrów, ukryty cieniem pochłaniającym światło odległej latarni, pochylił się i pocałował zimne szkło. Usta zabolaly go przy dotknięciu szyby. Do zobaczenia, mój kapeluszu, szepnął odchodząc.



Przez następny miesiąc żył jak w odrętwieniu. Pracował, owszem, spełniał codzienne czynności sprawny jak automat, jadł i spał bez snów. Codziennie chodził do sklepu, zatrzymywał się przed witryną, a potem odważnie wchodził do środka, starając się nie zwracać uwagi na rudą dziewczynę, która również zachowywała się tak, jakby nie pamiętała o niczym. A przecież w tej wzajemnej, tolerującej się obecności, zawiązała się jednak nitka przyjaźni. Jej oczy nie były już ani tak błękitne ani tak pełne ironii jak mu się zdawało przy pierwszym spotkaniu. Uśmiechała się do niego czasem. Udawał, że ogląda jakieś drobiazgi, nie wiedząc właściwie, czego się spodziewa. Może tego, że któregoś dnia zostanie w sklepie nieznajomą, a może że przywyknie do widoku kapelusza i zagadka rozmyje się sama w narastającej monotonii i nudzie. Lecz choć pozornie w związku z kapeluszem nie działo się nic, jego wewnętrzne podniecenie wcale nie malało. Ta głupia historia skutecznie pomieszała mu w głowie.

Zaczęli rozmawiać ze sobą przed świętami Bożego Narodzenia. To było nieuchronne, musieli kiedyś zacząć. Właściwie polubił ją już podczas okresu milczenia a potem, gdy już zaczęli siadywać przy stoliku, na którym zawsze płonęła lampa z abażurem, czuł jakąś trudną do zdefiniowania ulgę. Było mu z nią lepiej, niż mógł się spodziewać. Męczące poczucie nierealności znikło, ustępując miejsca fali zaufania. Sam nie wiedział, kiedy zapragnął dopuścić ją do swego sekretu.

Opowiedział historię kapeluszy tak, jak mówi się o bajkach dzieciństwa. Czuł się przy tym jednak wewnętrznie obolały, serce biło mu mocno i drżały ręce. Nie przerywała, słuchając cierpliwie aż do końca. Dopiero wtedy zaczęła się śmiać i wyznała mu prawdę.

Cóż za zabawna historia, powiedziała, zbieg okoliczności, za którym z twoją zbiegła się także moja fantazja. Wyobraź sobie, że już ją znam, a przynajmniej czuję się jakbym ją znała! Nie miej tak zdziwionej miny, kombinacja wizytowego kapelusza z szafą pancerną to mój pomysł autorski!

A przecież musiał mieć minę bardzo zdziwioną, bo podparła brodę na dłoni jak Szeherazada i zaczęła opowiadać. To zupełnie proste, powiedziała, któregoś dnia, kiedy na zewnątrz było szczególnie brzydko i szaro, wyobraziłam sobie taką scenę: do odartej z wszelkiej urody biblioteki naukowej wchodzi jakiś obcy pan i nagle spostrzega leżący na szafie pancерnej damski kapelusz. Piękny kapelusz, dodałam od razu, koniecznie piękny, jak choćby ten czerwony, który już mi się znudził. Nieznajomy widzi go i zadaje sobie podstawowe pytania — czyli to kapelusz i dlaczego leży akurat na tej paskudnej szafie. Pytania, jak sam rozumiesz, nie znajdują odpowiedzi. Kapelusz pozostaje tam gdzie był, ale nieznajomy robi pierwszy krok w stronę grzęzawiska. I odtąd zaczyna błądzić, ale to błądzenie staje się blaskiem jego życia. Wchodzi coraz głębiej i głębiej w siatkę pomyłek. Och, nie wyobrażasz sobie jaką przyjemność sprawiło mi wymyślanie serialu potknąć jakie może popęlić na drodze ku kapeluszwowi... Siedziałam całymi dniami tu, przy tym stoliku, patrząc od środka na przechodniów i ulicę, umierałam z nudów i jedynym ratunkiem było wymyślanie dalszego ciągu. Proszę, nie gniewaj się na mnie teraz, to było naprawdę bardzo zabawne.

Krok po kroku, mówiła, krok po kroku nieznajomy zbliża się ku mnie. Jak rycerz z bajki musi pokonać smoki, głuchy telefon i fałszywe adresy. W dążeniu ku prawdzie zaczyna kłamać. Choć jest człowiekiem szanowanym, zachowuje się jak pajac. Nic zewnętrznego nie zmusza go do tej metamorfozy, nic, za wyjątkiem czegoś tak mało uchwytne jak wspomnienie kapelusza. A jednak kapelusz nie daje mu spokoju. Spokoju jest w nim coraz mniej, za to kapelusz zapuszcza w nim długie korzenie... Przecież, że trudno uwierzyć w coś takiego, więc nie wierzyłam własnym oczom, gdy wszedłeś do sklepu i zapytałeś o drugi kapelusz. A może po prostu usłyszałeś o kapeluszach od którejś z moich przyjaciółek? Może żartujesz sobie ze mnie? Powiedz...

Ależ ta historia zdarzyła się naprawdę, chciał krzyknąć, patrząc na jej szczupłe palce trzymające papierosa, lecz nie krzyknął, sam nie wiedział dlaczego. Oczywiście nie wierzył w te głupstwa z fantazją, wyprzedzającą rzeczywistość. To nie było możliwe, choć gdy tak żartowała z niego, odrzucając rude włosy w tył, czuł że gdyby to była prawda, powinien zemścić się na niej dotkliwie, tak właśnie jak to sobie wcześniej wyobraził i obmyślił. Dlaczego jego wyobraźnia miałaby ustępować jej rojeniom? Tak, poprzysiągł w myśli, odpłacę jej w stosownym czasie tym samym. Gdy już będzie grzeczna i posłuszna, gdy zacznie tęsknić za mną i kiedy karą stanie się dla niej moja nieobecność, wtedy opowiem jej, że gdy tylko zobaczyłem po raz pierwszy jej kapelusz, wyobraziłem sobie, że zakładam go na jej głowę, odgarniam włosy, pociągam gumkę, dotykam szyi, o, tak...

Nie mógł jej uwierzyć, choć do pewnego stopnia jednak wierzył, ponieważ bardzo chciał mieć nadzieję, że spotkają się jeszcze raz i wiele, wiele razy. Do diabła z fantazją, chciał tego w sposób jak najbardziej prawdziwy i rzeczywisty, chciał siedzieć z nią przy tym samym stoliku, pić herbatę słodzoną z jednej cukierniczki, czuć jej perfumy, słyszeć jej głos. Czytała w jego myślach. Gdy przychodził do sklepu, zastawał już na stoliku gorącą herbatę, a krzesło ustawione było tak, jakby nawet ono na niego czekało. Stopniowo zaczynał panować nad sytuacją. Czuł to. Ta rozkoszna pewność była oddalona od szczęścia jednym tylko, miedzianorudym włoskiem. O tym, że jego szczęście wisi na włosku, nie wiedział jeszcze nic.

Katastrofa nastąpiła niespodziewanie. W dniu Wigilii pobiegł do sklepu złożyć jej życzenia i zobaczył, nie dowierzając własnym oczom, że nie ma już sklepu. Obcy ludzie wynosili resztki mebli z wnętrza, w którym walały się papiery pakunkowe i sterty wiórow. Ktoś zabierał się do zamalowywania witryny farbą olejną, ktoś inny oznaczał ostatnie paczki rzymskimi cyframi. Co się stało, pytał oszołomiony, lecz robotnicy potrafili powiedzieć mu to tylko co sam widział — że sklep uległ likwidacji. Niech pan tylko rozejrzy się wokół, rzucił któryś przez ramię, to samo dzieje się na każdej ulicy.

Długo stał i czekał, co nastąpi, jakby w przekonaniu, że coś jeszcze musi nastąpić, ale mylił się, bo nie stało się nic. Robotnicy odeszli, zamykając za sobą wnętrze na klucz. Było coraz chłodniej i coraz ciemniej, stał pod opuszczonym sklepem, wiedząc że musi wracać do domu. W jego głowie przesuwały się jeden po drugim, kolejne obrazy: czerwony kapelusz na szafie pancерnej, sekretarka w szaliku i druga, opowiadająca mu o pani M., abażur, rude włosy kobiety z galerii, list, zamykające się drzwi autobusu, sny o magazynie pełnym lalek o pustych oczach. Gdy jakaś dłoń dotknęła od tyłu jego ramienia, poczuł ją jako coś co powinno nadejść, by dopełnić miary zagubienia. Odwrócił się i jak przez mgłę zobaczył aktora-sprzedawcę. Mam dla pana przesyłkę, powiedział tamten i wręczył mu paczkę. Było to lekkie kartonowe pudełko, owinięte w pachnący papier. Dziękuję, odpowiedział, nie wiedząc jak inaczej mógłby się zachować. Nie musiał nawet sprawdzać, by mieć pewność co w niej znajdzie, lecz mimo to zapytał. Czy to kapelusz? Posłaniec z miną wyrażającą coś na kształt współczucia, skinął głową. Przecież chciał go pan mieć? odpowiedział pytaniem. Stali przez chwilę spoglądając na siebie, przedzieleni oddechami, które zmieniały się na mrozie w białe obłoczki. Co się z nią stało, chciał zapytać, co się stało ze sklepem, z naszymi spotkaniami, z rozmowami przy abażurze?

Lecz wypowiedzenie pytań było ponad jego siły. Czuł się rozbity i odurzony kolejną złą przygodą, jak lekkim zmieniającym krytycyzm. Odejsz stąd, myślał, powinienem odejść stąd jak najszybciej i zapomnieć o tym co mi się przydarzyło. Lecz co mi się właściwie przydarzyło, zadał sobie w myślach kłopotliwe pytanie. Jak się to stało, że wszedłem w ten labirynt, w którym nie poznaję samego siebie?

Z wysiłkiem podniósł głowę i spojrzał na stojącego wciąż obok sprzedawcę. Aktor (czy kimkolwiek był naprawdę tamten człowiek) uśmiechnął się w odpowiedzi uśmiechem ledwie widocznym. Lecz skąd pan wiedział, że tu będę, spytał go wreszcie szeptem, zdruzgotany. Ze wszystkimi tak było, odparł wtedy tamten, wykonując ręką krótki i nic nie znaczący gest. A potem odwrócił się i odszedł, znikając w ciemności, a w jego ostatnich słowach zabrzmiał ton współczucia: tak było ze wszystkimi, których uwiodła za pomocą swoich kapeluszy... Nie jest pan pierwszym, który poddał się tej magii...

Nie, wcale nie śnił, ani nie znajdował się pod wpływem narkotyków. Wszystko co mu się przydarzyło, było, ku jego zgrozie, bardzo realne, zaświadczone mrozem, kaszlem i drżeniem rąk. Z trudem dotarł przez szare ulice do swego domu i jak błędny odszukał własne nazwisko na dobrze znanej liście lokatorów. Nic się tu nie zmieniło, nie zmieniło i nie zmieni. Z uczuciem wielkiego znużenia oparł dłoń na poręcz i starając się usilnie nie myśleć ani nie pamiętać o niczym, zagłębił się w stęchłą ślimacznicę schodów.

Było już całkiem ciemno, gdy wrócił do mieszkania, przekroczył próg i poczuł wspaniały, kojący zapach smażonego karpia. Nie przyznał się do niczego, wyjaśniając dzieciom spóźnienie awarii tramwaju. Ucałował żonę na powitanie serdeczniej niż zwykle i udał, że nie spostrzega ciekawego spojrzenia jakim obrzucała paczkę. Tego samego wieczoru ofiarował jej pod choinkę srebrny kapelusz, sugerując przy tym, że nabiedził się bardzo, by znaleźć godny jej prezent. Zasłużyła na niego. Gdy stawiała kolejne półmiski na stole, czuł że to ona właśnie jest jedyną kobietą, którą kocha.

KSIĄŻKI

Spoiwo i kres

Leszek Elektorowicz

Jeden znak

Wydawnictwo św. Stanisława, Kraków 1993.

W 70. rocznicę urodzin autora

W *Jednym znaku* poeta rozmawia z Bogiem. Są to rozmowy pełne gońcy. „Im jestem starszy / tym świat mniej rozumiem / i siebie w tym świecie” — czytamy w *Spustoszeniu*. Świat nie został ulepiony z marzeń, nie spełnił się. Przeszłość jest spustoszona, a w teraźniejszości panuje zamęt. Marzenie było proste: żyć w czasie pełnym. Ale czas, jaki był dany poecie, sztywniał z prawdziwego kształtu życia. Młodości nie dlatego żał, że minęła, ale że się nie spełniła. W wypadku Elektorowicza jest to prawda tragicznie bolesna: w 1939 roku miał lat 15, w okresie stalinizmu wchodził w wiek męski. Jako pisarz zaistniał dopiero w 1957 roku wraz z pokoleniem „Współczesności”.

Tym „ważnym sprawom” co można teraz przeciwstawić? Wszystko wydaje się wobec nich takie małe i niepotrzebne. W dodatku tamte ważne sprawy już nie znaczą, rozmyły się po drodze. W świecie rzeczy, które odebrały spokój, coś zostało do ocalenia, co się jeszcze liczy? Tylko ów „głos najcichszy”, pozwalający żyć w jasności, głos nadający „nieudanemu życiu” jakąś wewnętrzną prawdę. Nie ma to jednak być prawda znacząca. Elektorowicz wyraźnie unika jej uwznioślenia. Tęskni do wolności, która umożliwiłaby mu „zejście ze sceny” w sposób jak najwykleszy. A przecież w tym stoickim pragnieniu ukrywa się rozpaczyliwie przekonanie o błędzie historii.

W tej poezji rezygnacji i zgody na ciche zniknięcie najbardziej przejmująca jest

refleksja o „lęku przed minionymi laty”. Przeszłość przestała cokolwiek znaczyć. Jej bilans jest ujemny, bo nabyta dzięki niej wiedza niczego nie wyjaśnia. Przeszłość nie odegna złudzeń powtarzając w nieskończoność ciągle te same znaczenia, które nie składają się na żadną przyzwoitą sumę przeżyć. Elektorowicz, poeta rezygnacji mówiąc o „nudzie znikomości” jako obrazie przeżytego życia nie ma na myśli indywidualnego wyboru. Życie było takie, a nie inne, nudne i znikome, bo nie miało się na nie żadnego wpływu: „i tak pozostanie / i dalej nie zajdziesz”.

Lekceważący stosunek do przeszłości wynika również z przeświadczenia, że nie ma ucieczki od własnych działań. Skoro nie da się niczego już poprawić czy odmienić, a wszystkie czyny, których żalujemy nie wrócą po latach w doskonalszej postaci, lepiej potraktować przeszłość jako przestrzeń zapomnienia. Z chwilą obecną jest podobnie. Ona nie oświetla drogi, ani nie zbawia. Jest ważna tylko o tyle, o ile pomaga zrozumieć „chorobę na śmierć”, która zaległa się „w nas żywych”. Czas obecny to dla poety „skarłata biologia” panująca nad porządkiem historii. Jakże trudno odnaleźć w nim „nagły spokój”, który umiałby za pomocą metafizycznego muśnięcia olśnić, wypełnić blaskiem.

Kiedyś można było dla olśnienia szukać nazw, bo odwaga nazywania utrwalała piękno. Teraz poecie wydaje się, że nazywanie jest niszczeniem zjawisk. Jeszcze jeden przykład rezygnacji. Poeta rezygnuje z zachowania obrazu, z prostego opisu na rzecz zatrzymania olśnienia, które pojawia się nagle i szybko znika. Jest to więc jednocześnie pożegnanie poezji utrwalającej rzeczy i nadanie zna-

czenia nietrwałości istnienia, które nie potrzebuje nazwy.

Ślepy los nie budował z doświadczeń żadnego porządku. Nie wyznaczał przeżyciom wyraźnego kierunku. „Zbyt późno dostałem spoiwo” — mówi poeta, tym spoiwem może być zarówno pogodzenie się ze znikomością życia, jak i wiara w wyższy porządek, który ułatwia oczekiwanie kresu. Poeta nie ukrywa, że tajemnica tego porządku, jego nieodgadniość, jest jedyną sprawiedliwością, która przekazuje prawdę o niekonieczności istnienia.

Elektorowicz nie chce mówić o zostawieniu śladu, lecz o „zniknięciu w tym śladzie”. Jest to poezja pochwalająca z jednej strony rzeczy małe i niekonieczne, z drugiej milczenie o nich. Nie dziwi więc skarga poety na wyobraźnię, która zawsze wiodła na bezdroża, fałszując prawdę o losie. Na wyobraźnię wyolbrzymiającą nadzieję i ludzącą szczęściem.

Jeden znak przynosi pociechę i nie przynosi pociechy. Jest niebawie silnym przyznaniem się do klęski. Iście Różewiczowską pochwałą kresu, który jest nieskończony. Ta poezja bólu, a jednocześnie zgody na cierpienie otwiera religijną perspektywę „chwili dziękczynienia”. Zgadzać się na nieuchronność końca — „i tak jest dobrze odejść” — rezygnując wcześniej ze zdobywania świata, poeta niczego nie żałuje. Nie żałuje, bo to, czego mógłby żałować, nie zaistniało nigdy. Bo to, co chciałby pożegnać, nigdy nie wyznaczyło spotkania.

W nagich, bezbronnych, bardzo osobistych wierszach Elektorowicza zawarte jest błogosławieństwo ciszy i milczenia jako bunt przeciwko światu udawania i przemocy.

Julian Kornhauser

Przestało być śmiesznie. O ile dawniej wszystko, co się tu działo kojarzyło się przybyszom i obserwatorom stamtąd z egzotyką, może dotkliwą, ale do zniesienia przy odrobinie dobrego humoru oraz niezbyt wygórowanych potrzebach kulinarnych i higienicznych, o tyle teraz dobry humor nie pomaga. Rzeczywistość jest potworna w swojej beznadziejności. Kobiety manifestują przeciwko głodowym racjom żywności. Prąd wyłączany jest w mieszkaniach co dwie godziny na dwie godziny. Komunikacja nie funkcjonuje. Młode państwo demokratyczne, które dopiero co wyzwoliło się z komunistycznej niewoli nie ma środków do życia. Były prezydent Stoję Petkanow jest aresztowany i czeka na proces polityczny. Społeczeństwo też czeka: na sprawiedliwość, na chleb, na wizy do USA albo na powrót Lenina. Nad miastem nadal Alosza — gigantyczny pomnik wdzięczności Armii Czerwonej za wyzwolenie. Wytrzymał najdłużej ze wszystkich, kolejno znikających z miasta i ustawianych na pasie kolejowych nieużytków, gdzie w doborowym towarzystwie (Lenin, Stalin, Breżniew, Petkanow) zarastały pokrzywami i powojem.

Jeżozwierz Juliana Barnes'a jest przenikliwą i mądrą obserwacją dramatycznych przemian w postkomunistycznych krajach europejskich. Napięcie i niepokój momentu przejścia pokazane zostały w jego książce w całym ich skomplikowaniu. Daleko jest w *Jeżozwierz* do wiary w proste rozwiązania oparte na rozróżnieniu między niewątpliwym dobrem a niewątpliwym złem.

Piotr Soliński, prokurator oskarżający w procesie Petkanowa jest wyznawcą nowego porządku. Występując przeciw byłemu prezydentowi występuje przeciwko całemu staremu systemowi. „Dował mu, Soliński, dował mu!” — emocjonują się oglądający transmisję z historycznego wydarzenia młodzi ludzie — „Masowe morderstwa. Ludobójstwo. Zrujnowanie kraju”. Takie zarzuty nie padają i nie padną do końca procesu. Soliński, a więc cały nowy system jest śmieszny w swoich maleńkich zarzucikach lub większych, ale nie popartych solidnymi dowodami. A wynik procesu jest właściwie znany z góry.

Tej niemocy i władzy zarazem Petkanow odpowiada własną mową obrońcą, w której przez godzinę wymienia odznaczenia, honory i wyrazy uznania otrzymane przezeń od władców tego świata: poczynając od królowej angielskiej, a na prezydentach małych państw afrykańskich kończąc. To jest chwila jego triumfu, jego przewagi nad sądzącymi go za to, że, jak mówi, jest komunistą i jest z tego dumny.

„Oni wszyscy dali się nabrać temu absurdalnemu złudzeniu, że wygrali. Nie że wygrali proces, który tyle się liczył, co nic, bo ustalili werdykt dwie minuty po sporządzeniu aktu oskarżenia, tylko, że wygrali historyczny bój. Bardzo się przeliczyli”. Stoję Petkanow rozumie bardzo dużo — o wiele więcej, niż Piotr Soliński. Były prezydent — starszy pan, jak wielokrotnie jest określany — uosabia wielką ironię naszego świata i jego historii. Dla prokuratora staje się diabłem, złem wcielonym. Na jego kłutwę

Petkanow odpowiada: „Nie. Mylisz się. To ja przeklinam ciebie. To ja skazuję ciebie.”

Soliński jest przeklęty. Jest tragicznym bohaterem, który podejmuje walkę z siłami prerastającymi go i rządzącymi nim. Celem jego życia jest wyrwanie ze świadomości narodu wszystkiego tego, co symbolizuje zwycięski Alosza ze swym wzniesionym bagnetem, podświetlony promieniami zachodzącego słońca. Alosza trafia wreszcie tam, gdzie i inne pomniki porastają powojem, Petkanow zostaje skazany, a życie Piotra Solińskiego rozpada się. Prokurator ponosi klęskę mimo pozorów zwycięstwa. Pozostaje mu zapalenie świeczek w kościele św. Zofii. Jak samotnej staruszce wpatrującej się w twarz Lenina pozostaje oddawanie holdu pierwszemu przywódcy przed jego opustoszałym mauzoleum.

Przestało być śmiesznie. Historia Jeżozwierz'a nie jest historią zabawną i eg-

Przestało być śmiesznie

Julian Barnes

Jeżozwierz

tlum. Tomasz Bieroń
„Rebis”, Poznań 1994.

zotyczną. Rzeczywistość książki Barnes'a jest bardzo daleka od rzeczywistości przedstawionej w *Kursie wymiany* Malcolma Bradbury'ego. Nie jest to również historia białocarna. To właśnie przesądza o jej autentyczności i wartości. *Jeżozwierz* nie jest lub nie jest wyłącznie powieścią historyczną z drugiej połowy XX wieku. Znaczenia uniwersalne zawarte są i w przemyśleniach bohaterów i w obrazkach z tego świata, choćby dla ludzi stamtąd były one niewyobrażalne. Otaczająca nas mieszanina dobra i zła, mądrości i głupoty, prawdy i fałszu nigdy nie zostanie podzielona na osobne składniki. Przekonujemy się o tym ilekroć próbujemy rozsądzić. „Chcemy hasła, nie sprawiedliwości” — pisze do Solińskiego po zakończeniu procesu brodaty student, który od początku wiedział, że jedyne, czego można być pewnym — to ironia.

Magda Heydel

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

więcej z grzechów przeszłości wybaczać, głównie dlatego, że lepiej rozumiemy, jakie mechanizmy kierują ludzkimi słabościami. Widać też, jak szybko demoralizują się dawni „kryształowo czysti”, kiedy dostają władzę, jak wiele dzisiaj zaskoczeń, że powielamy dawne grzechy, na ogół jednak mniejsze i lżejsze dzięki dobrodziejstwu demokracji, jednak demokracji, o którą słusznie tak uparcie walczyliśmy. Wydaje się, że właśnie dzisiaj wydawanie jednoznacznych drugoczących wyroków na przeszłość jest trudne, bo tamten świat przestał być czarno-biały, pojawiły się liczne półcienie. Są jednak dzisiaj sędziowie, dla których odwrotnie, wszystko się uprościło. A trudno oprzeć się wrażeniu, że właśnie intelektualści winni starać się komplikować, a nie upraszczać swe werdykty. Intelektualiści, o których Szymański pisze z taką pogardą, chociaż sam się za intelektualistę uważa. Ostatnia jego książka świadczy o tym, że nie jest to intelektualizm najwyższej próby, bo zaślepiony natręctwem tropienia cudzych przewin i jakimś przedziwnym grafomańskim patosem werdyktów moralnych wydawanych wśród zapachu róż z ogrodu w Psarach.

„Widział i wiedział naprawdę tylko naród”, napisał krytyk. Nie wolno demonizować narodu, ale nie wolno go też idealizować. Naród jako mimowolna wysublimowana mądrość, naród nadużywany i odmienny w wielu przypadkach, taki naród jest niczym innym jak tylko iluzją, groźną, gdy podpira sądy i wyroki w jego imieniu wydawane. Pozwala ów mit sądzić, że to przede wszystkim polscy intelektualiści byli zdemoralizowani, a lud był czysty. Nieprawda, takie same procesy deprawacji i upadku miały miejsce w PGR-ach, w biurach i fabrykach lat 50., podobne mechanizmy i takie same straszne ciśnienia, i lęk zawsze o tych samych oczach, z malejącymi nagle żrenicami. I podobne racjonalizacje, by ocalić szacunek dla siebie samego. Wizja czystego narodu i upadłych intelektualistów jest tyleż nieprawdziwa, co niepoważna. Można, owszem, zastanawiać się, czy nie wymaga się więcej od ludzi, którzy zajmują się moralnością niejako zawodowo, ale przecież księża też mają swoje słabości, mimo że tak dobrze znają 10 przykazań. Pisarze operują słowem, słowo zaś było podstawą do budowy świata kłamstwa. Dlatego o pisarzy reżim zabiegał szczególnie. Najłatwiej zaś złamać człowieka nie represją, lecz dając mu nazbyt wiele: a gdy już się da i gdy zostanie uruchomiony wielki strach, wynik bywa zaskakująco dobry. To jest chyba właśnie klucz do skali sukcesu zła w tamtych strasznych czasach.

Nie mam pretensji do Szymańskiego, że tak go poraża energia upadku w tamtym okresie i przeraźliwy chór pisarzy. Mam pretensję, że widząc skalę zjawiska (a to przecież nie dotyczyło tylko Polski), że znając późniejsze jakże inne biografie tych ludzi, używa gilotyiny i rzeźnickiego tasaka tam, gdzie potrzebny jest skalpel. Czyż nie skalpela użył kiedyś Miłosz, w jakże innym czasie, gdy nie było żadnego dystansu, tylko zimny ocean między Nim a „zniewolonym umysłem”.

Kuriozów w tekstach Szymańskiego jest wiele, ale na pierwszym miejscu postawię napaść seksualną na Marię Dąbrowską. Autor, chociaż należy do ludzi niezwykle czystych w tej dziedzinie, co nie raz sugeruje, użył pewnie dla dobra sprawy bardzo odważnego w sensie obyczajowym podtytułu: „Dewaginacja Marii Dąbrowskiej”. Ja jako człek, w przeciwieństwie do Szymańskiego, seksualnie rozpasany, nazwałbym bez trudu to, co przydało się profesorowi „peniso-zapętlaniem mózgu”.

Szymański z lunetką przy oku, niezbyt, jak się zdaje, szczególnie zapętlony podgląda życie intymne pisarki. Odsłoniętym oknem w sąsiednim bloku są jej własne dzienniki. Dziennik to zawsze piekielnie niebezpieczny materiał, bo jeśli pisany choćby częściowo szczerze, daje pole do oskarżeń. Tylko autorzy starannie przebranych i przeczesanych dzienników mają szansę ocalać. Bo niestety, jesteśmy jako ludzie zbyt słabi, by oozwolić sobie na pełną nagość. Tego nie wybaczą moralisci ubrani w sztywny gorset, który zresztą na ogół ukrywa ich własne, starannie schowane grzechy. A im bardziej boją się je ujawnić, tym wścieklej obnażają innych. To chyba tłumaczy, czemu dzisiaj najgorliwiej lustrują nie ci, co mają czyste biografie: byli więźniowie i prawdziwe ofiary, lecz ci, co otarli się o kolaborację lub

nawet w nią weszli. Nie twierdzą, że należy zamykać oczy na słabości i małości wielkich, bardzo jednak źle jedynie na tym się skupiać. Ci, co tak czynią, z reguły szukają potrawy, by nakarmić własną nędzę.

Naiwną jest też wiara, którą zdaje się wyznawać Szymański, że moralność jest jednorodną kolumną, tak gładką, że nie wejdzie na nią żadna jaszczurka. W rzeczywistości można być uczciwym i nieuczciwym, można fatalnie traktować żonę, bić dzieci, a być nieskazitelnym w sprawach publicznych. I odwrotnie. O tak, niestety, istnieć niebываła gama możliwości i wariantów, artystów zaś ta prawda dotyczy szczególnie, a życia erotycznego przede wszystkim. Co z tego, że udowodnimy szaleństwa i podłości Strindberga czy Dostojewskiego. Wbrew przekonaniu Szymańskiego upadki moralne artystów rzadko infekują ich sztukę, natomiast święci niezwykle rzadko bywają kreatywni. Zgadza się, że ten brak spójności moralnej jest nieco kłopotliwy, bo podważa wiarę w gwiazdy nad nami, i w prawo moralne w nas. Myślę jednak, że trzeba wierzyć w człowieka mimo wszystko i szukać tego, co w nas jest dobre, też mimo wszystko, a nie jak na karaluchy i na mole polować na plamy i skazy. Szymański jako apologeta trwałych i spoitych praw moralnych, przebrany za inkwizytora w gruncie rzeczy demoluje tę wiarę w człowieka, a chcąc wyświetlić prawdę, jedynie prawdę prześwieśla, a więc zaciemnia. Używając takich jak on narzędzi załatwić można każdego na amen, z Adamem Mickiewiczem na czele. O tak, gdzieś nawet profesor zasugerował, że wśród emigracyjnych pisarzy nie wszyscy „rozliczyli się z pierwszą, krajową połową swojego życia”. (Można się domyślić, kto, np. Miłosz, a Gombrowicz, chociaż w Polsce żył jedynie przed wojną, winien rozliczyć się z pedałstwem). I kiedy pomyślałem, kogo to będziemy dalej lustrować, Szymański szybko mi pomógł, cytując: „Nawet Mickiewicz tego nie zrobił”, czyli nie rozliczył się z krajowej części życia. A co z Paryżem pytam, przecież żonę zdradzał, a Towiański był pewnie rosyjskim agentem?

Szymański kiedyś pisał o literaturze, a teraz rozlicza pisarzy. I nie jest to gromadzenie faktów, co robi biograf, czy łapanie mechanizmów psychicznych, o co walczy dobry eseista, **to polowanie na grzech.**

I tu nagle przychodzi jemu samemu do głowy złośliwa myśl, czy aby on sam ma na tyle czyste ręce, by innych rozliczać? Po chwili namysłu uznaje, że śpi spokojnie, bo nie napisał ani jednej książki, której, teraz się wstydi, a nawet nie marzy mu się wymazanie jakiegś strony. Jeśli nawet nie napisał jej kiedyś, to wszystko wskazuje na to, że napisał ją właśnie teraz. Ciekawy to i nie jedyny przypadek, kiedy ludzi otumanili nie tylko komunizm, a również jego upadek. A gdy chodzi o samokrytykę Szymańskiego, to coś z tą samokrytyką słabiotko. Znajomi z Krakowa z pewnością mają lepszą pamięć, więc się nie dziwię, że wielu z nich po lekturze tej książki utraciło oddech.

Wracając do Dąbrowskiej. Hula sobie profesor po życiu erotycznym pisarki aż się wokół kurczy od pasji. Widzi w jej postępowaniu w czasie stalinizmu sprzężenie zwrotne, była podła, bo upadła moralnie, upadła moralnie, bo weszła w stalinizm. A źródłem nieszczęścia był liberalizm europejski, który Dąbrowska przyjęła jako swój światopogląd. Krytyk ceni liberalizm w ekonomii, ale w życiu prywatnym uważa go za nieszczęście, co obserwował u swoich kolegów, polskich intelektualistów. Problem, że liberalizm ekonomiczny z reguły łączy się z liberalizmem społecznym i prywatnym; bardzo trudno akceptować jeden, a potępiać drugi.

W tej książce znajdziemy obszerny i apetyczny zestaw zwrotów pełnych urazy wobec warszawskich intelektualistów, co wskazuje na jakiś głęboki i bolesny kompleks krakowskiego krytyka. Jest więc „dobre towarzystwo warszawskie”, dalej „polscy intelektualiści europejscy” albo „warszawskie centrum intelektualistów europejskich”, czyli „kuźnia etykiet” (Jezu, co za obelga!). A te wszystkie słowa wymawia krytyk z wyraźnym obrzydzeniem, jakby trzymał za ogon zdechłą mysz. Wykazuje się przy tym niemal heroiczną odwagą, bo wie, co go za to czeka. Zostanie „raz na zawsze zamknięty w opłotkach najbardziej okrutnego Ciemnogrodu”.

O tak, ten okrzyk: „będziemy oskarżeni o Ciemnogród”, jest wspólny dla wszystkich tropicieli lewicowego i antynarodowego spis-

ku, krzyczą więc chórem. Ale dzielnie podążą ścieżką prawdy, mimo że będą ich obrzucać obelgami „warszawscy intelektualiści europejscy!” Krytyk powołuje się na mądrość ludu; tak, lud jest wedle niego oazą mądrości i moralności, to też już znamy. A ten lud, co raczy przypomnieć Szymański, bo lud mógłby o tym zapomnieć, uważa wedle niego, że „antyklerykalami są przede wszystkim «Żydzi i masoni». Kochanek Dąbrowskiej był masonem, więc dla profesora wszystko jest już jasne. Czyli znowu triumf mądrości ludu, antyklerykalizm zaś Dąbrowskiej ujawnia swoje zatrute źródło. A jako że wedle Szymańskiego jest on wojujący, to pisarka zmieni się „w głupią, zaciętrzewioną babę”. Tak, ten brak Boga w światopoglądzie intelektualistów europejskiej warszawki jest moralnie zabójczy.

Swą niechęć do intelektualistów posuwa krytyk bardzo daleko; „Marksizm (systemy totalitarne) i tak by upadł — intelektualistom polskim tylko wydaje się, że przyczynili się do jego upadku...” oświadcza z triumfem Szymański, no bo jak ci antynarodowi, zjadani przez weneryczny liberalizm mogliby się przyczynić? Być może to prawda, może rzeczywiście procesy gnilne były Polską rewolucją, nie zaś drugi obieg, a potem „Solidarność”, i wielkie gesty stanu wojennego, ale kto wie to na pewno? Faktem jest natomiast, że w Polsce jako jedynym kraju komunistycznym powstał wielki, i nie bójmy się słowa... piękny, bo napędzany czystymi intencjami, oraz nie stosujący przemocy ruch opozycyjny. A setki tytułów książek i pism wydawanych poza cenzurą, to zjawisko niezwykle w skali współczesnego świata. Czemu krytyk tak to pomniejsza? Czy dlatego, że nie miał wtedy odwagi, by samemu się przyłączyć?

Wywody Szymańskiego, jak to komunizm kusił Dąbrowską, nie wnoszą niczego nowego do wiedzy demonologicznej naszego wieku. Krytyk zresztą nie buszuje chętnie po polach psychologii, on przecież już wie, jaki był główny powód upadku pisarki. Oprócz „nieuporządkowanego życia seksualnego” zasadniczym powodem był fakt, że Dąbrowska jest wedle niego skrajnym przykładem, cytuję, „jak tragicznie mógł pisarz polski minąć się z narodem”.

Nie czuję się na siłach, by dyskutować z Szymańskim, czy Dąbrowska minęła się, czy nie minęła z narodem, to tylko może być kryterium literackim i moralnym dla ograniczonego nacjonalisty. Jeśli Dąbrowska była tak niezwykle czytana i popularną pisarką na obszarze polskiego języka, to się nie minęła, bo właśnie pisarz, jeśli jest czytany, kreuje świat, który staje się częścią narodowej wspólnoty. A jeśli się minęła, a była tak czytana? Czym wypełnić taką przepaść, coś strasznego!

Trzecim grzechem, ale mniejszym, miał być narcyzm Dąbrowskiej. Była zakochana w swojej literaturze, oskarża krytyk, a ja dodam, jak każdy artysta, który publicznie zaistniał. Równie gniewa krytyka, że już jako osoba w poważnym wieku pisarka lubi własne ciało, co zanotowała nieostrożnie w dzienniku, a to przecież też grzech. Doprawdy, współczuję profesorowi, bo jeśli on posiada cnoty, które są zaprzeczeniem grzechów pisarki, to jest człowiekiem głęboko nieszczęśliwym, z chorobliwym brakiem autoakceptacji. I czyż nie jest to klucz do tej żalosej książki?

Herbert jest przywoływany jak ten Anioł Stróż, anioł dobry, ale z mieczem. I jako ten jedyny sprawiedliwy co „widzi i wie”. Coś krucho z tymi aniołami w świecie Szymańskiego, domyślam się, że mało który ocali swoje skrzydła w płomieniach jego sądu ostatecznego. A co by się stało, gdyby Szymański zlustrował Herberta, i odkrył, że w młodości miał „nieuporządkowane życie osobiste”? Lecz nie zabierajmy krytykowi anioła, nie wolno go zostawić jedynie z diabłami. Nadszedł chyba jednak czas, by Herbert poprosił lustratorów: niech się od niego odpieprzą jako od jedynego świętego, bo niewielu jest świętych, którzy tak często używani nie wyleniają zupełnie.

W swoim satanicznym zaciętrzewieniu krytyk napisał: „Komunista to ktoś zaraz poniżej szatana”. Ciekawe spostrzeżenie, nie wiem tylko, czy Kościół nie będzie musiał protes-

tować. Jedno pewne, w owej kwestii dyskutować trudno, bo nad-szatan jest nad-perfidny, więc przebrać się może nawet za Pana Boga. Nic więc dziwnego, że dawny wielki przyjaciel Szymańskiego, poeta i prozaik Tadeusz Nowak zwiódł Szymańskiego i ten uznał go niegdyś za przyzwoitego człowieka, a Nowak to był przebieganiec. Trudno mieć nawet pretekst, że przez szatana zwiedziony Szymański zostawił w swoich książkach szereg dedykacji dla Nowaka, gdzie jest tyle pisanych ręcznie słów o miłości i wielkiej przyjaźni. Te dedykacje pokazywała mi niedawno Zosia Nowak, która po śmierci męża musi teraz przeżywać śmierć przyjaciela domu.

Caly nurt chłopski naszej prozy, którego Nowak był czołowym przedstawicielem, jest wedle profesora częścią komunistycznego spisku. Nowak był rzeczywiście długo w partii, nie był typem buntownika, miał zresztą na karku swoją straszną chorobę. Paranoją jest jednak demonizować go i jego twórczość, i to samo robić z chłopską literaturą. Doprawdy nie mam siły i chęci, by teraz analizować wszystkie nadużycia, jakich w swoim tekście dopuścił się Szymański wobec dawnego przyjaciela, którego wciąż nazywa pieszczotliwie Tadeuszem. Przeciw niemu używa nawet kościoła na Ursynowie, który rósł za oknem jego warszawskiego mieszkania i przyjaźni poety z księdzem proboszczem. Trafił chciał, że rok stanu wojennego „przeżimowałem” poza własnym domem właśnie w pobliżu mieszkania Nowaków, byłem u nich częstym gościem, więc doprawdy nie mogę spokojnie wysłuchiwać pomówień Nowaka o konformizm również w tym czasie.

Osobny rozdział poświęcony jest Przybosiowi. A całość wywodów wieńczy socrealistyczny w formie, ale w treści prawicowo-patriotyczny okrzyk profesora: „Dość lewicowo-agnostyczno-strukturalistycznego zachwycania się „Zwrotnicą” i jej budowniczymi”. W wielkim skrócie, bo trudno mówić o upraszczaniu tak prostych odkryć — Przybós oderwał się od swoich korzeni, chłopskich korzeni, a bez korzeni nie ma pisarza, więcej, nie ma człowieka. Czy nie przypomina nam to czegoś? „Ludzie bez biografii” to był przecież zwrot z czasów naszego socjalizmu narodowego, rok 68; Szymański poszerza ten termin i pokrywa nim nawet chłopski brak patriotyzmu. Jest prawdą, że komunizm podcinał świadomości korzenie i niszczył tradycje, a te podcięte korzenie i zabita tradycja, również tradycja pracy, to straszna spuścizna tego systemu. Ale nie ma to wiele wspólnego z poetą, z poetą fascynującym, chociaż jakoś nieznosnym w swojej zimnej jednostronności, którą zresztą Szymański trafnie mu wytyka, zarazem wielkodusznie przyznając, że jest wybitny. I tak naprawdę głównie to jest teraz ważne. Ale Szymański jest tropicielem braków. Brak metafizyki u Przybosisia, brak tradycji był wedle krytyka częścią komunistycznego spisku, w którym pisarz wziął udział świadomie lub nie.

Wszystkie spiskowe teorie mają w sobie pewien przemyślany narząd, narząd perfidii spisku. Znali dobrze ten narząd dawni inkwizytorzy, oprawcy stalinowscy, budowniczy spisku żydo-masońskiego; i oto dzisiaj taki sam narząd uzyskuje wizja spisku komunistycznego. Częścią konspiracji można być nie mając świadomości, że się w niej jest. A zachowując się niezgodnie ze schematem, dokonuje się szczególnie perfidii, bo stwarza się pozory, że spisku nie ma.

Wedle Szymańskiego poeta XX-wieczny nie ma prawa wyrzec się zmysłu historycznego. A jeden z największych polskich poetów XX wieku, Bolesław Leśmian? Z biografią też było u niego wedle miar profesora kiepsko i żadnego zmysłu historycznego. A tyle metafizyki i tak piękne zwycięstwo! Bo nic do końca w literaturze być nie musi, choć profesor nieustannie twierdzi, że coś musi. Brak metafizyki i historii, zachwyty nad postępem, miastem i maszyną, wszystko to z pewnością predysponowało awangardzystów do przyjęcia komunizmu, ale żaden to klucz, bo przyjmowali go równie łatwo arystokraci metafizyki, nie tu

DOK. NA STR. 10

CIĄG DALSZY ZE STR. 9

jest trop. Ciśnienia były tak wielkie, a usytuowanie ofiar tak niezwykle, że łamały się jednako ahisteryczne i historyczne charaktery, jednakowo przetapiano je w zniewolony umysł.

Czyli rozdział ostatni *Dworu* poświęcony jest perfidnemu pismu o nazwie „Przekrój”, które właśnie stwarzało pozory. Jest, niestety, ziarno prawdy w takim widzeniu komunizmu; ten system wyjątkowo zżecznie posługiwał się półprawdami i pozorami, pod tym względem, zgadzam się, był wyjątkowo perfidny. Ale nie mistyfikujemy tej perfidii, bo popadniemy w obłąd. Kontynuując myśl Szymańskiego można pójść w stronę, gdzie on sam przezornie się nie zapuszcza. Oto „Tygodnik Powszechny” cenzurowany, ale z niezależną redakcją, czyż nie dostał zezwolenia na życie, by stworzyć pozory, że PRL jest liberalna? Czyż nie zdarzało się, że podobnie interpretowano tolerowanie przez władzę opozycji? Sporo było takich głosów, że jesteśmy pod pełną kontrolą, więc pozwala nam się żyć, po czym wybuchnął „Sierpień” i powstała „Solidarność”. Ale i wtedy znaleźli się tacy, co uznali związek za nową formę kamuflażu. Obłąd spisku ma ruchome dno.

Pisząc niedawno dla „Res Publiki” obszerny tekst o historii „listu 34”, petycji polskich intelektualistów, co narobiła tyle hałasu w roku 64, byłem pod wrażeniem tak przebiegłości, jak i bezgranicznej głupoty komunistów. To był spryt małych, podłych gangsterów, przemierzanych ze strzępami humanitarnych odruchów i kompleksów wobec pisarzy i uczonych, ale też z głupotą polityczną i partactwem. Oto w roku 1964 nasi szatańsko przebiegli komuniści doprowadzili do sytuacji prawie nieprawdopodobnej. Co było tylko piskiem myszy, zmieniło się w ryk lwa. Wizja przebiegłego imperium zła, którą kreśli Szymański, jest niepoważna. Już samoobalenie się komunizmu zaprzecza tej demonicznej. Ale tu Szymański nie podda się, i powie, że komuniści zostawili w nas ziarna choroby na pokolenia. Czytając, co pisze on i pokrewni mu myśleniem, jestem skłonny chwilami w to uwierzyć.

Szymański oświadcza: „Nędza literatury polskiej ostatniego półwiecza (czy tylko?) polega na tym, że prawie wszyscy, którzy ją tworzyli (tworzą) chcieli znaleźć się na Dworze — mniej lub bardziej świadomie. Pisałem więc swoją książkę z myślą nie tylko o przeszłości, lecz i o przyszłości — po prostu dla wnuków”.

Tyle skromny, chociaż gwałtowny Szymański. Ta nędza polskiej literatury ma jednak swoje blaski. Jeśli porównywać inne kraje z podobnego kręgu cywilizacji, chyba nie ma się czego jednak wstydzić. Polska proza nigdy nie była zbyt wielka, ta tradycja utrzymała się w tym czasie. Cenzura i owa urzędowa jej upiorna córka autocenzura, z pewnością uczyniły polskiej literaturze poważne krzywdy, ale teraz, gdy już Urzędu nie ma, odnajdujemy chyba proporcje. Czechom np. udało się jakoś wejść do światowej literatury, mimo że byli w większej ideologicznej opresji. A dzisiaj odkrywamy, że nie tylko sporo powstało w naszej sztuce dzięki socjalistycznemu mecenatowi, choć zapewne jeszcze więcej na przekór ograniczeniom, w grze lub walce z cieniem. Ograniczenie nie zawsze niszczy, chociaż nie będziemy za nim tęsknić. Ale przecież Szymański nie cenzurę obarcza winą za nędzę literatury ostatniego półwiecza, a chęć pisarzy, by znaleźć się na dworze. Ale czy przedtem i gdzie indziej pisarze nie chcieli być na dworze? Ileż arcydzieł powstało dzięki dworom, ileż podłości również. Dwór komunistyczny był nędzny, to prawda, ale nie wszystko szło tylko w kierunku destrukcji. Kilkunastotysięczne nakłady to mów wierszy poetów nie z komunistycznego dworu, to też znak tamtego czasu. Artyści, nawet ci najwięksi, a może ci szczególnie, są próżni, chcą za wszelką cenę wejść do świadomości zbiorowej, to jest ich wielki grzech pierwotny, korzystali z niego dawne dwory, skorzystał dwór komunistyczny idąc, kto wie, chyba najdalej, bo proponując inżynierię ludzkich dusz. Tu był diabeł tamtego czasu i nawet może jakaś jego dziurawa metafizyka. W jej miejsce szybko przyszedł parszywy strach. I to chyba ten strach jest powodem, że po latach autorzy wierszy do Stalina nie potrafią szczerze o tym mówić. Kiedy sam próbowałem robić wywiady na ten temat, których nie drukowałem, również dlatego, by nie dawać zbyt łatwego żeru hienom, obserwowałem u moich rozmówców liczne objawy nerwicowe, jak te, które występują, gdy psychoterapia sięga krę-

gu pacierzowego ukrytych neurotycznych problemów. Znak, jak własny upadek został ogrodzony murem różnych pozorów i usprawiedliwień. Tylko ludzie o bogatym sumieniu budują takie zapory. Nazywać ich jedynie podłymi, a nie zauważyć, jak ogromnie zmienili się po latach, to więcej niż błąd, to zła wola. Dąbrowska przecież przed śmiercią zdążyła wykonać kilka szczerych szlachetnych gestów, a gdyby żyła dłużej bez wątpienia byłaby podporą przyszłej opozycji, jak byli potem Słonimski, Konwicki, Woroszyński, i wielu, wielu innych, dla których Szymański znajduje tylko pogardę. Niech pamięta, że godni pogardy są też ci, co gardzą innymi zbyt łatwo. (W biografii Słonimskiego np. krytyk zauważył jedynie mieszkanie na luksusowej ulicy Aleja Róż).

Los, jak wspomina krytyk oszczędził mu ukąszenia heglowskiego, zapomina jednak, że miał wtedy małe poślaki, i ten Hegel nie miał w co wbijać swoich kłów. Ale dzisiaj profesor godnie wypina się, bo on nie jest, „jak większość jego uniwersyteckich kolegów, sympatykiem lewicy (albo jak to się mówi „udecji”)”. Co to znaczy, zapytuję, „jak to się mówi Udecji?” Warto popatrzeć, kto tak mówi, w jakim doborowym towarzystwie lokuje siebie profesor. Nie jestem jakimś wielbicielem Unii, ale porównanie tej partii do UB jest żenujące. Można to cytować jako obraz aberracji umysłowej i nienawiści, a Szymański widzi w tym trafną metaforę. Dalej pisze Szymański lekceważąco o Kołakowskim, rozumiem, sam ma taki intelekt, że jakiś tam Kołakowski mu nie podskoczy. Gombrowicz też mu nie imponuje, za mało z pewnością narodowy. Zaraz potem zresztą powoła się na jednego i drugiego w pozytywnych kontekstach, bo niestety, nasze kopalnie mądrości, skąd czerpie się materiał do cytatów, mają bardzo ograniczone zasoby, więc nie da się mądrze podpierać swego tekstu bez Miłosza, Kołakowskiego i Gombrowicza. A książka profesora Szymańskiego jest pisana z wielkim rozmachem.

To nie koniec niekonsekwencji. Profesor atakuje Nowaka za antyinteligencję, a sam bywa antyinteligentki, ujawniając zarazem własne inteligentkie pawie pióra. Tu się pochwali, że był aż trzy lata w Nancy, tam wspomni mimochodem, że do Miłosza napisał list i nawet dostał odpowiedź! Gromiąc za antyklerykalizm sam nagle pisze, że „jakoś jest antyklerykałem”. Można się domyślić, że on bywa anty, ale nie odrywając się od narodu, gdy tamci się oderwali.

Nielatwa jest dola polskiego intelektualisty, który płynąc pod prąd liberalnej tradycji europejskiej, próbuje w tej nierównej walce używać różnych wyrafinowanych stylów pływackich, ale w efekcie dryfuje płynąc pieskiem.

W swojej grze o sumienia Szymański użył najsłabszej uczuciowej broni w postaci zbrodni Katyńskiej. Więcej: by poruszyć, otworzyć serca czytelnika i napelnić go mściwym gniewem, wyciąga z grobu ojca swej żony, co zginał w Katyniu. I stawia zwłoki z przestreloną głową naprzeciw Przybosi. Bo ten kolabrował, gdy teścia mordowali, a potem o Katyniu nic nie pisał. Ale jak ktoś pisał, to też dla Szymańskiego jest złe, bo nie pisał wystarczająco. A więc teść znowu jest wyciągany z grobu, tym razem by załatwić Nowaka (pogrzeb Nowaka, też będzie powołany na świadka, by mówił przeciwko zmarłemu poeci). Toż to się w łbie nie mieści, bo właśnie Nowak należy do nielicznych autorów, którym udało się temat Katynia w swojej powieści *Wniebo-głosy* przemycić przez sieć cenzury, zaś w wydawnictwach podziemnych Nowak publikował wstrząsający wiersz *Pierwszy Pacierz Diabła*, skłócony przez cenzurę. Jako że Nowak i jego nurt chłopski był narzędziem w ręku szatana i kamuflażem, to ten Katyń przebiegłego Tadeusza był szkodliwy.

Tu gdzieś dokonuje też profesor niezwykłego odkrycia, że oto pocziwe oblicze poety ukrywało „twarz Scyty”. Przebyłszy tej scytyjskości już kiedyś widywał, ale znaki lekcewazył, a nawet zaprzysiężnił się z ukrytym potworem. Nie dziwi więc profesora, że podziwiał Scytę oraz duchem Szeli poeta nienawidził inteligentów, a ta ukryta głęboko nienawiść określa twórczość i postawę pisarza.

Raz więc Szymański używa biografii pisarzy, by kompromitować ich dzieło, a kiedy indziej posługuje się literaturą, by kompromitować pisarza-człowieka. Miesza lekko dwa porządki życia i twórczości jak mu wygodniej, a cel jest jeden: **dotożyć**.

Wątpię zresztą, czy na tych kilku nazwis-

kach profesor zakończył swoją lustrację, jest przecież tyle do zrobienia. Zachęcam do pójdźcia nie tylko wszcz, a również w głąb. Dowiemy się, że Norwid był onanistą, Słowacki współżył z matką, Krasieński był molestowany jako dziecko przez ojca, a Leśmian uprawiał seks ze zwłokami.

Szymański przez całe niemal swe życie zajmował się, jakże życzliwie, twórczością Przybosi i Nowaka, a z Dąbrowską zrobił na kolanach wywiad. Czule potem śledził ścieżki ich dzieł, skazany — jak to krytyk — na życie pięknego pasożyta.

Dzisiaj, po latach, Szymański staje okrakiem nad tymi, przed którymi kłębał, i dokonuje wzniesłego aktu wydalenia wielkiej do nich niechęci, głównie jako do ludzi, ale przy okazji odkryje, że ich pisarstwo też niewiele jest warte, gdyż byli moralnie zjedzeni przez komunizm i własne słabości. Wtedy tego nie widział, a teraz przejrzał.

Kiedyś chyba przyjąłbym niektóre jego tezy z pewnym zrozumieniem; był czas, kiedy ja również nie potrafiłem oddzielić w naszej politycznej szarpaninie pisarza-człowieka od jego dzieła, każdy kompromis przejmował mnie dreszczem obrzydzenia, zaś pogarda dla innych pomagała słodzić gorycz własnych porażek. I myślę, że nadal mam kilku takich autorów, do których nie przemogłem obrzydzenia, jak choćby Żukrowski. Upływ czasu, śmierć pisarzy, nasza wolność, to wszystko przywraca proporcje. Dla niektórych okres walki i oporu to były lata 70., a przede wszystkim stan wojenny. Tymczasem profesor właśnie dzisiaj rusza do boju na swoim Rosynancie, na kopii zaś wypisał „Bóg, lustracja, ojczyzna”.

Szymański budzi w swym tekście moją żywą niechęć. Jako intelekt jest mętny i uproszczony. Jako ktoś, kto przeszedł przez komunizm bosą stopą i się nie uwalniał, zbyt nieprzyjemny zapach wydzielając: pachnie Pax-em, nielojalnością i tanim patosem. A jako człowiek? Jeśli posiada jeszcze po tym, co napisał, jakichś przyjaciół, to niech lepiej mają się na baczności.

Jedno już się Szymańskiemu udało: sięjąc niechęć do innych, zaraził mnie niechęcią do siebie, do człowieka, którego znam jedynie za pośrednictwem tej książki. Krytyk uważa, że spełnia misję mówienia prawdy w naszym nadal zakłamanym świecie, sieje jednak głównie dwa gatunki ziarna — dla naiwnych konfuzję, dla innych — niechęć do siebie.

Czy nie za mocno piszę; czy nie krzywdzę krakowskiego moralisty? Z premedytacją napisałem ten tekst brzytwą, czyli bronią, której użył Szymański, to on sam wsadził mi ją do ręki.

Ta książka podobnie jak jej kuzyni i pociotkowie, nie zasługiwałyby na refleksję, gdyby nie fakt, że to nie jedynie chwila słabości pojedynczego człowieka. Jest cała grupa intelektualistów, których nie wolno brać w cudzysłowy, a którzy będąc fizycznie osobno, oddychają tym samym powietrzem, powielając ten sam sposób myślenia, wchodząc dokładnie w te same ślady.

Ich klientów widywałem na wiecach Antoniego Macierewicza, Parysa i Kaczyńskiego. Kiedy Szymański ubolewa, że jesteśmy zbyt tolerancyjni, słyszę głos Macierewicza, gdy dwa lata temu grzmiał w auli Politechniki na polską tolerancję. A pobudzany przez niego tłum począł wykrzykiwać hasła faszystowskie. Pamiętam, że Macierewicz *nieco* się spłoszył i krzyknął: „tak nie wolno, nie wolno, napisz w prasie, że jesteśmy faszystami”.

Igranie hasłami populistycznymi i narodowymi w kraju, gdzie w ramach niedojrzałej wolności trwa dramat ekonomiczny, to zabawa zapalkami na stacji benzynowej. W razie tragedii pierwszymi jej ofiarami byłoby zapalkowicze. Bo żaden z wymienionych przeze mnie polityków, a tym bardziej, broń Boże, Szymański, nie jest totalistą. Są zagubieni, strasznie sfrustrowani i bolą ich zęby. Nie zaakceptują jednak, ludzę się, niczego, co nie mieści się w ramach demokracji i co jest okrutne. Czyli pierwsi musieli by paść ofiarą pożaru, który prowokują, a który chyba jednak staraliby się powstrzymać, bo przecież planowali tylko czysty narodowy płomień.

I czyż nie widać też tu jak na dłoni dość prostej prawdy, że kto tropi zbyt gorliwie diabła u innych, budzi diabła własnego?

Tomasz Jastrun

* Wiesław Paweł Szymański: *Uroki dworu*, Arka, Kraków 1993.

Krakowski spleen

Karkołomnego, ale też frapującego zadania podjął się Stanisław Tabisz, komisarz wystawy „Krakowski spleen”. Około 70 prac członków Krakowskiego Okręgu Związku Polskich Artystów Plastyków zostało zaprezentowanych jesienią ubiegłego roku w warszawskiej galerii DAP przy ul. Mazowieckiej. Wystawa, mimo iż skupiała prace bardzo odległe pod względem tematycznym i stylistycznym, dobrze oddała klimat Krakowa kończącego się stulecia. Były tu obrazy uznanych od dawna malarzy, profesorów krakowskiej ASP: Stanisława Rodzińskiego, Zbysława Marka Maciejewskiego, Adama Brinckena, czy mieszkającego w Krakowie prof. PWSSP z Poznania Jacka Waltosia. Średnie i młodsze pokolenie reprezentowali m. in.: Sławomir Karłowicz, Jarosław Kawiński, Romuald Oramus, Stanisław Sobolewski, Dorota Martini, Grzegorz Bednarski, Andrzej Niedoba, Łukasz Konieczko, Zbigniew Sprycha, Aldona Mickiewicz, Ewa Mańkowska, Ewa Pello, Michał Baca, Adam Marcukiewicz, Ewa Bajek, Stanisław Tabisz.

Ogniem spajającym tak rozległe spektrum była chęć oddania atmosfery Krakowa, genius loci miasta, czegoś trudnego do zdefiniowania, a jednak narzucającego się obserwatorowi. Znany warszawski krytyk sztuki, Krzysztof Lipka, w swej recenzji z wystawy napisał: „Tylko w tym mieście mogą powstawać takie obrazy”. I rzeczywiście miał rację, bo gdzieżby indziej Leszek Dutka, najstarszy uczestnik pokazu (ur. 1921), mógł „ironizować z ludowo-krakowską rubasznością”, a młodszy o wiele Piotr Kidawski powoływać do życia budowle mające cechy miast wyśnionych przez autorów baśni, ale też mocno przypominających krakowskie szopki.

Na osobliwość Krakowa, jego wyjątkowość wśród innych miast, składa się skumulowana tu przeszłość obecna w zabytkach, grobach królewskich, lecz także niepowtarzalność wielu pozornie zwyczajnych miejsc rozmywających się we mgłach, nocnych światłach, miejsc noszących ślady spojrzeń wielu, których nazwiska trafiły do podręczników szkolnych.

Wszystko to sprawia, że artyści z Krakowa wręcz skazani na dialog z tradycją, czynią to zresztą chętnie i z szacunkiem, nie wyrzekając się przy tym oryginalności.

Stanisław Tabisz napisał we wstępie do katalogu ekspozycji: „Każda wystawa zbiorowa w ostateczności jest dobra, jeżeli znajdują się na niej dobre, a najlepiej wybitne obrazy”. „Krakowski spleen” obfituje i w jedne i w drugie, chociaż... W tej zgranej orkiestrze jeden instrument wyraźnie nie brzmi najlepiej. Dość nieoczekiwane zawiódł Wiesław Obrzydowski, twórca cieszący się skądinąd zasłużoną renomą, który tutaj umieścił tylko jeden obraz, na dodatek nie najlepszy. Nie zawiedli za to Zbysław M. Maciejewski i Stanisław Rodziński. Pierwszy pokazał trzy dużych rozmiarów płótna, z których najciekawsza warsztatowo i najbardziej pojemna znaczeniowo (obfitująca w niedopowiedzenia, aluzje, enigmatyczność) wydaje się *Łażnia*, drugi zaś urzeka subtelnością i fascynującą prostotą kreowanych pejzaży (np. *Szary dzień*).

Generalnie trzeba stwierdzić, że Kraków pokazał się w Warszawie z jak najlepszej strony, co w równej mierze jest zasługą uczestników ekspozycji, jak i komisarza, który zatroszczył się o jej reprezentatywność, różnorodność, ciekawą aranżację w trzech salach wystawowych oraz — co najistotniejsze — wysoki poziom.

Marek Karwala

TEATR

Przedstawienie o nieistniejącej Arkadii

Szekspirowskie *Jak wam się podoba* w reżyserii Tadeusza Bradeckiego nie jest sztuką o szczęśliwej miłości; nie jest też sztuką o Arkadii, miejscu, w którym można się schronić. To komedia o świecie, gdzie wszystko ulega złowrogiej przemianie. Czasem zaskakującej i śmiesznej, częściej dziwacznej i okrutnej. Świat Bradeckiego jest czarno-biały, niemal zawsze zły. Na dworze tyrana Fryderyka i w ardeńskim lesie panują te same prawa przemocy i kłamstwa, toczy się taka sama walka o życie, to znaczy o żarcie, posłuch i łóżko. Żadnej wolności, żadnej nadziei na to, co mogłoby się nam p o d o b a ć. Żadnego w gruncie rzeczy wyboru. Oślepiająca biel dobra jest równie groźna i zwodnicza jak czerni zła. Prawdę rzekłszy, ta biel jest szarawa, a ci, którzy ze złego królestwa przedostali się do Arkadii, pozostaną jako uczeni, co widać wyraźnie w elementach kostiumu.

Złe królestwo złego księcia Fryderyka, co zagarnął rządy w państwie, oddzielone jest od świata za pomocą złowrogo, czarnego ogrodzenia. Każdy pręt tego ogrodzenia zakończony jest złotym ostrzem. Za ogrodzeniem, na wysokich schodach usytuowano złote, rachityczne krzeselko o nienaturalnie długich nogach. Do tego surrealistycznego i dość niepewnego tronu prowadzi pompatyczny i krwisty dywan. Świat ten podglądać możemy tylko przez szpary w ogrodzeniu, co jest zajęciem wielce uciążliwym. Ów świat jest pogrążony w czerni, nawet dwie młode księżniczki noszą czarne, zbożne sukienki z zakonnej pensji. Ich zabawa jest zbyt historyczna, by mogła być tylko zabawą. Wymyślają więc grę w miłość i obie ulegają czarowi jedynego człowieka, który zjawia się w tym świecie, młodego Orlanda. On samym swym oddechem pokonuje pychę zła: zwycięża królewskiego osiłka.

Żelazna zaporą oddzielająca czarny świat złego Fryderyka od pozornie jasnego świata jego wygnanego brata, Seniora (Jerzy Radziwiłowicz) podnosi się w górę, wówczas gdy zostaje już sforsowana przez uciekinierów. Teraz zbiegów będzie przerażał ów jasny świat ardeńskiej Niby-Arkadii. Jeśli zdarzać się będą tu cuda, to będą nielogiczne i nieprzekonujące, jak przemiana okrutnego, historycznego Olivera. Stary sługa Olivera, Adam (Jerzy Nowak), chciał niegdyś świat czarnych krat udomowić, ocieplić.

Próbował — daremnie — zawiesić na ogrodzeniu kwiatek. A w Arkadii Bradeckiego nikt nawet nie czyni gestów oswojających rzeczywistość, nikt nie czuje się tu dobrze, nikt nie jest naturalny i wolny. Nieprzypadkowo uciekinierzy boją się wyjść z ciemności w smugę światła, jakby mieli świadomość, że to tylko umowna zmiana dekoracji. Po prostu białe kotary pokrywają czarne. Ale zmienia się nie tak znowu wiele.

Reżyser bardzo stara się, aby nikt nie posądził go o sentymentalizm, o wiarę w świat idyllicznych uczuć. Zaplątał więc w miłosny, wymyślony przez siebie trójkąt dwie zaprzyjaźnione księżniczki, Rosalindę i Celię. Obie, jak się rzekło, są zako-

chane w Orlandzie. Kłamstwo zżera przyjaźń i każe miłości udawać, ostatecznie niszcząc cię idylli. Bohaterowie *Jak wam się podoba* zostali w ten być może zbyt prosty sposób uwolnieni od podejrzeń o homoseksualne skłonności. Za to zakwestionowano ich życiową szczerść i uczciwość. Orlando (Szymon Kuśmider) oczarowany jest obiema dziewczynami. Fascynuje go zarówno spontaniczność, cielesność i uroda Celi, jak podnieca wyrafinowana gra chłopięcej Rosalindy. Wybierając tę bardziej zaskakującą, wodzi oczyma za tą bardziej zmysłową. Wobec każdej winny i wobec każdej jakoś zobowiązany. I oto zadziwiająca lekcja miłości, jakiej udziela przebrana za chłopca (i w przebraniu tym udająca Rosalindę) Rosalinda swemu ukochanemu, staje się mimo woli okrutną grą przeciw zagrabiającej jej Celi. Ojciec Celi odebrał Rosalindzie królestwo. Celia może odebrać jej mężczyznę. Rosalinda nie przeczuwa zdrady, ona ją widzi, śledzi jej postępy. Zdrada ma imię i ciało Celi, nie jest urojeniem skrzywdzonej księżniczki. Więc Rosalinda sadystycznie zmusza rywalkę do udzielenia jej ślubu z Orlandem. Więc przeciw niej głosi wielki antyfeministyczny wykład o naturze kobiety, miłości i małżeństwa. Celia Anny Radwan jest dobra. Chciałaby ocalić przyjaźń. Ale przecież wszystko w niej buntuje się przeciw temu poświęceniu, wszystko w niej biegnie na spotkanie Orlanda. Więc wychodzi za mąż za złego brata, krzywdziciela Orlanda, za Olivera, który podobno się zmienił, lecz zachował te same nieznosne maniere, ten sam despotyczny sposób bycia, co niegdyś. Celia musi zrobić cokolwiek, żeby udać szczęście, żeby nie być podobna do swego ojca. Las ardeński na pewno nie jest miłosną Arkadią.

Nie jest Arkadią w ogóle. Zimno tam i głodno, głodno i zimno. Arkadia nie uszlachetnia: w Arkadii ludzie idiotycją. Dwór księcia Seniora błąka się po lesie poszukując nieudolnie i rozpaczliwie czegoś do jedzenia. Wszyscy na coś polują. Ktoś trzyma w ręku świecznik, ktoś z parasolki zrobił widelec-szpikulec, ktoś nie może się rozstać z chochlą; w dodatku ryby chyba nie biorą. Arkadyjski wieśniak nie chce się podzielić ze zbiegami jabłkiem, arkadyjska wieśniaczka opuści swego lirycznego wieśniaka uwiedziona błazeńską mową światowca-arlekina (Jerzy Świąch — Probierek). Surowy książę Senior gra bez powodzenia ze swymi współbraćmi w wygnaniu grę w zadowolenie. Ale narzucić im entuzjazmu dla miłosierdzia wobec wygłodniałego starca nie może. Niechętnie oddają mu swoją porcję i bardzo żałośliwie śpiewają. Za to uda się księciu zjednoczyć dworaków wokół dokuczenia Jacquesowi (Krzysztof Globisz). Oskarży Jacquesa o niemoralny pesymizm, bo Jacques w przeciwieństwie do reszty wygnańców nie ukrywa rozczarowania idyllą ardeńską, nie udaje szczęśliwego. Jacques-podróżnik włócząc za sobą swój jedwabny biały szal romantycznie szuka wciąż niemożliwego i nie kamufluje swej wiedzy o daremności

tych poszukiwań. Wybiera kabotyńską pozę i pozostaje jej wierny. Wiecznie w opozycji, wbrew radom swego księcia „pójdzie do Rzymu”. Zamiast rozczarować się raz jeszcze nadzieją powrotu do władzy woli słuchać nawróconego eks-tyrana Fryderyka. Bo: „od tych nawróconych wiele nauczyć się można słuchając”.

Cudowna odmiana losu wszystkich wygnańców w przedstawieniu Bradeckiego nie ma nic z wdzięku Szekspirowskiej, nagle pogodniejszej baśni. Finał odbywa się nie w idyllicznej krainie i nie w teatrze, a w kabarecie. Towarzyszy mu chichot widowni, reagującej błyskawicznie na aluzję, bo wieść o cudownym nawróceniu i przeistoczeniu tyrana przynosi postać ubrana we współczesny garnitur i wszystko staje się cudownie jasne: publiczność wie, co ma sądzić o przemianie pod wpływem „świętego starca”, o zwróceniu władzy, o odejściu tyrana do pustelni. A reżyser jeszcze podpowiada więcej, każąc spaść znowu czarnej żelaznej bramie, każąc postaciom w rytm fanfar i swinga upaść i powstać, czyli umrzeć i zmartwychwstać.

Kabaretowy finał nie przynosi oczyszczenia. Jeśli coś w nim bawi, to wyzwoleń Rosalindy (Małgorzata Hajewska-Krzysztofik), która tyle się natrudziła, nie wiedząc, że jest ofiarą nie tylko polityki, ale i kalkulacji reżyserskiej. Więc w finale dziękuje pięknym paniom i panom, rozjaśniona i nareszcie prawdziwa. Pokazuje jeszcze jedną sztuczkę, niczym prestidigitator wyjmując niewidoczną czerwona chustę (?), znak zabawy w cudowność i zabawy w miłość, i zabawy w teatr. I staje się trochę tak, jakby udaniem była jej, Celi i Orlanda przygoda w ardeńskim lesie, bo przecież wszystko ostatecznie jest teatrem, „wszyscy mężczyźni i wszystkie kobiety są aktorami”. Przygodę Rosalindy sytuuje więc reżyser w gruncie rzeczy na tym samym poziomie co pyszny pasterski balet zakochanej w sobie do nieprzytomności Febe (Beata Fudalej) i niezdarnego Silviusa (Jacek Romanowski). Ten znakomity taniec próżności i bezmyślności miłosnej, odegrany w pokracznie baletowych kostiumach najeżonych koronkami, tiulami, troczkami, wążadelkami, sznurowadłami pokazywał sztuczność i okrucieństwo ogrodu wymyślonej miłości.

Nie podoba mi się, że miłosne gry nie prowadzą do miłości i nie podobają mi się bań, w której zło choć na chwilę nie jest zniszczone przez moralny ład, choćby cudem w ten świat wprowadzony.

To przedstawienie o nieistniejącej Arkadii ma jedną bardzo poważną wadę — nieznosnie celebrytuje nawet humor. Jest niezwykle i niepotrzebnie długie. Tego błędu nie jest w stanie zrównoważyć nawet bardzo teatralna, znakomita scenografia (kostiumy!) Urszuli Kenar.

Małgorzata Ruda

William Szekspir: *Jak wam się podoba*. Przekład Maciej Słomczyński. Reżyseria Tadeusz Bradecki. Scenografia Urszula Kenar. Muzyka Stanisław Radwan. Premiera 12. 12. 1993, Teatr Stary.

CAMERA OBSCURA

Duch krakowskich „odchwaszczaczy” nazw ulic zawędrował widocznie do redakcji „Gazety (Wyborczej) w Krakowie”, skoro jej anonimowy przedstawiciel szuka (nr 44) na Wydziale Historycznym UJ odpowiedzi na dręczącą go wątpliwość, „czy o tragicznej śmierci Edwarda Dembowskiego w tzw. rewolucji krakowskiej 1846 lepiej zapomnieć, czy wciąż pamiętać?”. Dr Tomasz Gąssowski odpowiada, że żadnych faktów przeszłości nie można wykreślać, a ponadto że o postaci tej powinni pamiętać współcześni politycy, „by nie wyobrażała sobie nazbyt wiele”. Dobrze i to, bo przynajmniej „Gazeta w Krakowie” nie będzie jutro pytać, czy warto pamiętać o Jakubie Jasińskim, pojutrze — o Stefanie Okrzei, a pojutrze może nawet o Tadeuszu Kościuszcze, o którym — jak żartował poeta — w Krakowie mówiono także, że „był to wariat, co buntował proletariatu”... (hm)

Ze znaczną beztrząsą poczyni sobie Jerzy Janicki spisując „Alfabet lwowski”, którego t. II pt. „Towarzystwo weteranów” właśnie się ukazał. Wymieniając z dumą „mocarzy”, którzy wykładali w II Gimnazjum lwowskim — przy nazwisku Roman Ingarden objaśnia: „fizyk, specjalista teorii systemów i termodynamiki” (s.10). A przecież w gimnazjum lwowskim wykładał w latach międzywojennych nie uczony tej specjalności (ur. 1920), lecz jego ojciec, także Roman, później światowej sławy filozof, o czym wypadałoby każdemu pisarzowi polskiemu wiedzieć. Powinien on także wiedzieć, że jako „głośniego Or-Ota” znamy warszawskiego poetę Artura Oppmana, a nie lwowskiego felietonistę Wilhelma Raorta (s. 44) — już „Raort” był pseudonimem Rappaporta. Gdy Ryszarda Hanin (ur. 1919) uczęszczała przed wojną do prywatnej szkoły aktorskiej we Lwowie, kolegami jej nie mogli być — jak pisze Janicki — Leliwa (Józef, ur. 1884) i Żmijewska (ur. 1888); zapewne w szkole tej uczyli. Odnosi się to chyba także do Strachockiego, który tu występuje pod imieniem Ryszard. W „Słowniku biograficznym teatru polskiego” znaleźć można jednak tylko Janusza Strachockiego (ur. 1892). Konstanty Puzyna (s. 92) pochodził z rodu książęcego, nie hrabiowskiego. Prof. Witold Karczewski (s. 64) jest przewodniczącym nie Rady Naukowej, lecz Komitetu Badań Naukowych, o którym nie można pisać, że „podporządkowana” mu jest cała polska nauka. I na zakończenie: narzeczona Grotgera nazywała się Wanda Monné, a nie Monee, jak kilkakrotnie (s. 10) Janicki pisze. (hm)

W audycji Polskiego Radia (Pr. I, 26 lutego) historyk dr Władysław Kulesza, opowiadając o dziejach Prus Wschodnich wymawiał nazwisko dynastii „Hohenzollern” jak „hohencollern”, zamiast jedynie poprawnej formy „Hoen-collern” (bez h w środku). Niby drobiazg, ale dziwny to specjalista od historii pruskiej, który nie zna reguł wymowy niemieckiej i nie chce mu się nawet sprawdzić w encyklopedii, czy wymawia poprawnie. (hm)

Tadeusz Nyczek („Gazeta o Książkach” z 23 lutego) przytacza anegdotę, jak to Sławomir Mrożek na spotkaniu literatów ze Steinbeckiem w Warszawie zadał mu pytanie: „Co słychać?”. W rzeczywistości — jak to przypominał w telewizji sam Mrożek — było inaczej: gościem był wtedy nie Steinbeck, lecz Dürrenmatt, a Mrożek tylko zaproponował po cichu Puzynie, by takie pytanie zadać, ale tego nie zrobił. (hm)

Ukazał się (w opracowaniu Andrzeja Gronczewskiego, wyd. EM-TA) wybór poezji K. I. Gałczyńskiego pod tytułem „Trubadur w czasie marnym”. To wyrażenie podwójnie cudzysłowowe („trubadur” — wiadomo, „czas marny” to słowa Hölderlina, spopularyzowane przez Heideggera) stanowi jakby metaforyczną ocenę i samego poety i jego epoki. Trudno zgodzić się z samowolą edytorską tak daleko posuniętą. (hm)

DEKADA LITERACKA — dwutygodnik kulturalny. Wydawca: KRAKOWSKA FUNDACJA KULTURY, ul. Kanonicza 7, 31-002 Kraków, tel. 22-47-73. Adres redakcji: ul. Kanonicza 7. Redakcja: Marta Wyka (redaktor naczelny), Zbigniew Baran, Leszek Elektorowicz, Krzysztof Lisowski, Włodzimierz Maciąg, Aleksander Pieniek (grafik), Bogdan Rogatko, Dorota Terakowska, Teresa Walas (sekretarz redakcji). Współpracują: Danuta Abrahamowicz, Stanisław Balbus, Anna Baranowa, Wacław Iwaniuk (Kanada), Julian Kornhauser, Stanisław Lem, Jerzy Lohman, Leszek A. Moczulski, Maria Niemojowska (Londyn), Tadeusz Nyczek, Leszek Polony, Stanisław Rodziński, Małgorzata Ruda, Jan Józef Szczepański, Witold Turdza. Skład i łamanie: ARTA WYDAWNICTWO, Kraków, Rynek Gł. 6, tel. (0-12) 21-18-14, fax (0-12) 21-13-08. Druk: Drukarnia ASSICO, 90-532 Łódź, ul. ks. Skorupki 17/19. Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty na rok 1994: kwartalna wynosi 60.000 zł, półroczna 120.000 zł, a roczna 240.000 zł; za granicą kwartalna wynosi (licząc w dolarach USA) 10\$, półroczna 20\$, a roczna 30\$. Wpłaty prosimy dokonywać na: Krakowska Fundacja Kultury, Bank Przemysłowo-Handlowy, IV Oddz. w Krakowie — nr 323415-709987-132-3 ISSN 0867-4094

W pułapce erotyzmu

Teresa Walas

W dzieciństwie planowo i konsekwentnie chroniono mnie przed zepsuciem, przez które rozumiano nie tylko przedczesne, ale w ogóle nadmierne wtajemniczenie w sprawy erotyczne. Nikomu nie przechodziło przez myśl, by dziewczynka z uczciwego domu, należąca do rodziny, m. ogła nagle przywłaszczyć sobie cudze piór marki „Pelikan”, wytrącić łaskę z rąk ułomnego staruszka, zamęczyć na śmierć kota lub zdeptać z premedytacją grządkę kolorowych bratków. Eros natomiast uchodził za nieprzewidywalnego w swoich działaniach. Przenikał niepostrzeżenie do najprzystojniejszych domów. Przytąjał się pod kanapą obitą pluszem; zamierał na moment w serwante z porcelaną, przybrawszy postać tancerki; splaszczony, kładł się w białej bieliźnie między śnieżnobiałymi prześcieradłami. Potem zniechęcał wyskakiwał z ukrycia i rozniecał niszczący płomień w ciele i duszy wcześniej upatrzonej ofiary.

Ponieważ otaczali mnie ludzie obyczajni i powściągliwi w słowach, kordonem sanitarnym objęta została dziedzina zawsze i nie bez powodu podejrzewana o wpływ demoralizujący: sztuka i literatura. Oczywiście nie cała. Nikt nie wzbraniał mi dostępu do książek, ani zbyt natrętnie nie kontrolował mojej lektury. Ale w jedne z szuflad biurka mojego ojca spoczywały zamknięte na klucz przedmioty emanujące szkodliwym promieniem erotyzmu. Wypożyczona już w pełną sprawność czytania dobrałam się do nich pewnego wieczoru pod nieobecność rodziców i pobieżnie je obejrzałam. Były tam „Dzieje grzechu” Zeromskiego, „Słowska” Boya, niemiecki album poświęcony sztuce Indii, oraz jedno dzieło o charakterze użytkowym: „Anatomia człowieka”. „Dzieje grzechu” przeczytane pospiesznie innym razem i „Anatomia człowieka” z grubsza mi znana, nie pobudziły w najmniejszym stopniu mego dziesięcioletniego erotyzmu. „Słowska”, owszem rozpalili nieco moją wyobraźnię, ale błędziłam w nich po omacku z braku głębszej znajomości rzeczy, podświadome wieszcząc zakazaną wiedzę w frywolnych wierszykach, z których bił aromat podobny do zapachu piżma. Ale naprawdę dopiero niemiecki album, na którego stronach pojawiały się od czasu do czasu rysunki przedstawiające kobiety i mężczyzn w różnych pozach, wciągał w prawdziwą czeluść niepojętego podniecenia. Żaden Apollo Belwederski, żadna Wenus wynurzająca się z morskiej piany, żadne scenki z Bouchera, gdzie opięci we fraczki kawalerowie laskotali wypukłe dekoltu dam — nic, co dotąd widziałem w dozwolonych albumach nie mogło się z tym równać. Może „Leda z Łabędziem” robiła podobne wrażenie, ale na pewno nie tak mocne. W ten sposób w wieku lat dziesięciu odkryłam istnienie sztuki erotycznej i umiejętność odróżniania jej od sztuki innego rodzaju. Sztuka erotyczna podniecała i w rachunku sumienia podpadała pod punkt: „oglądanie nieprzyzwoitych obrazków, myśli nieskromne”.

Tę pierwotną wiedzę zakłóciły potem głębsze studia estetyczne, wedle których sztuka prawdziwa popycha jedynie ku kontemplacji, nie wywołuje natomiast żadnych uczuć życiowych, tym bardziej zaś — uczucia podniecenia erotycznego. To ostatnie przytrafiło się jedynie w najniższych jej rejonach graniczących z pornografią. Ostry ten podział stawał się przyczyną poważnego dyskomfortu w moim życiu duchowym, zdarzało się bowiem, że czytając niekwestionowane arcydzieła literatury światowej obserwowałam wyraźne przyspieszenie tętna. Albo więc w teorii estetyczne wkradła się hipokryzja, albo ja — sama skażona, zaraziłam sztukę swoim oddechem.

I oto trafiła się okazja, by węzeł ten rozsupłać i bodaj bliżej przyjrzeć się zawilosciom jego splotu. W warszawskim Muzeum Narodowym otwarto wystawę, której sam tytuł zadawał kłam zwolennikom absolutnej sublimacji: „Ars Erotica”. Kupiwszy bilet przemknęłam chyżo przez sztukę średniowieczną, pozostawiając jej arcydzieła nie tknięte wzrokiem, i wspięłam się na piętro. Tam, dobrze zamaskowana czekała na mnie sztuka erotyczna. Znalazłam się w gąszczu ciał, które karnym szeregiem przesuwają się wzdłuż wąskiego pomieszczenia, gdzie wisiały obrazy przedstawiające również ciała (zazwyczaj obnażone) lub ich intymne fragmenty w ujęciach naturalistycznych, fantastycznych lub groteskowych. Cechą przesuwających się ciał była ich absolutna sztywność, wszystkie zaś twarze miały w sobie spokój, powagę, a nawet surowość, w jaką przyoblała się je w chwilach szczególnie ważnych oraz w miejscach sakralnych. Na sali reprezentowane były wszystkie grupy społeczne i wiekowe z wyjątkiem wojska i duchowieństwa. Przeważała młodzież szkolna, przechadzająca się parami od ekspozycji do ekspozycji. I choć nigdy nie byłam wieloletnią Gombrowiczą, widok dwójga licealistów wdzięcznie pochylonych na dziełem oddającym narządy płciowe w miękkiej, polskiowej materii słodko stylizowane, wywołał we mnie niewątpliwie niezdrowy instynkt voyeurystyczny. Odwróciwszy wzrok od młodzieży, wpilam się nim zachłannie w dwie starsze panie przyglądające się obrazowi, na którym lisie pyszczki przechodziły gwałtownie w stan erekcji. Kapelusze pań zbliżały się i odsuwały od siebie, usta wszakże pozostały nieporuszone. W innym miejscu sali młodzieńców w okularach studiował pilnie rysunki, gdzie rozchylone penisy i ufrizowane damskie krocza układały się w misterne ornamenty. Młodzieniec to przybliżył się do rysunków, to od nich oddalał; to zdejmował, to nakładał okulary. Starał się robić wrażenie człowieka, przed którego oczyma rozciąga się cykl zimowych pejzaży Breugela. Porzuciłam go, bo wzrok mój dobiegł prawdziwy dramat: wciśnięta między erotyczne prześcieradła Ewy Kuryluk stała pracownica muzeum pilnująca ekspozycji. Miała lekko zaciśnięte usta, oczy utkwione w nieokreślonym punkcie. Było jasne. Walczyła o niezawisłość, zagrożona przekształceniem w dzieło sztuki.

Wysiłkiem woli odepchnąwszy voyerystyczne pokusy większą uwagę zaczęłam poświęcać obrazom. Gdy stałam przed płótnem zatytułowanym „Kobieta płonie”, poczułam na sobie wzrok. To mężczyzna o twarzy południowca przyglądał się z zaciekawieniem mojemu oglądaniu, wyraźnie wywołując na światło dzienne pamięć moich podnieceń. Postanowiłam zerwać z mistyfikacją i skończyć tę komedię. Spuściwszy oczy oblałam się prawidłowym rumieńcem zawstyżenia i wymknęłam się z tej pułapki, zostawiając nierozwiązany dyktament estetycznego dystansu i erotycznego napięcia.

Gdy schładzałam swe zmysły w sztuce średniowiecznej, przez którą prowadziła również droga powrotna z obszarów erotyzmu, spojrzenie moje zatrzymało się na obrazie przedstawiającym Marię Magdalę. Ujęta była w postaci stojącej, a jej smukłe ciało obleczone było w coś, co przypominało kombinizon ze zwierzęcej skóry. Jedynie bosa stopy, dłonie i szyja wychylały się z tego odzienia. Aniołowie z pewnym wysiłkiem unosili ją ku górze, gdzie czekał Pan Bóg z koroną wysadzaną kamieniami. Ta Maria Magdalena urzekła mnie doszczętnie. Na dodatek byliśmy sami i nikt nas nie podglądał. Patrząc sobie w oczy nasłuchiwałyśmy, jak na górze tyka miarowo bomba sztuki erotycznej.

Największą uwagę, profesor zwraca na dzieła, które nie tylko nie chronią, ale wręcz odwołują się do erotyzmu. W tym celu, w ramach projektu „Ars Erotica”, w Muzeum Narodowym w Warszawie, w sali 100, 101, 102, 103, 104, 105, 106, 107, 108, 109, 110, 111, 112, 113, 114, 115, 116, 117, 118, 119, 120, 121, 122, 123, 124, 125, 126, 127, 128, 129, 130, 131, 132, 133, 134, 135, 136, 137, 138, 139, 140, 141, 142, 143, 144, 145, 146, 147, 148, 149, 150, 151, 152, 153, 154, 155, 156, 157, 158, 159, 160, 161, 162, 163, 164, 165, 166, 167, 168, 169, 170, 171, 172, 173, 174, 175, 176, 177, 178, 179, 180, 181, 182, 183, 184, 185, 186, 187, 188, 189, 190, 191, 192, 193, 194, 195, 196, 197, 198, 199, 200, 201, 202, 203, 204, 205, 206, 207, 208, 209, 210, 211, 212, 213, 214, 215, 216, 217, 218, 219, 220, 221, 222, 223, 224, 225, 226, 227, 228, 229, 230, 231, 232, 233, 234, 235, 236, 237, 238, 239, 240, 241, 242, 243, 244, 245, 246, 247, 248, 249, 250, 251, 252, 253, 254, 255, 256, 257, 258, 259, 260, 261, 262, 263, 264, 265, 266, 267, 268, 269, 270, 271, 272, 273, 274, 275, 276, 277, 278, 279, 280, 281, 282, 283, 284, 285, 286, 287, 288, 289, 290, 291, 292, 293, 294, 295, 296, 297, 298, 299, 300, 301, 302, 303, 304, 305, 306, 307, 308, 309, 310, 311, 312, 313, 314, 315, 316, 317, 318, 319, 320, 321, 322, 323, 324, 325, 326, 327, 328, 329, 330, 331, 332, 333, 334, 335, 336, 337, 338, 339, 340, 341, 342, 343, 344, 345, 346, 347, 348, 349, 350, 351, 352, 353, 354, 355, 356, 357, 358, 359, 360, 361, 362, 363, 364, 365, 366, 367, 368, 369, 370, 371, 372, 373, 374, 375, 376, 377, 378, 379, 380, 381, 382, 383, 384, 385, 386, 387, 388, 389, 390, 391, 392, 393, 394, 395, 396, 397, 398, 399, 400, 401, 402, 403, 404, 405, 406, 407, 408, 409, 410, 411, 412, 413, 414, 415, 416, 417, 418, 419, 420, 421, 422, 423, 424, 425, 426, 427, 428, 429, 430, 431, 432, 433, 434, 435, 436, 437, 438, 439, 440, 441, 442, 443, 444, 445, 446, 447, 448, 449, 450, 451, 452, 453, 454, 455, 456, 457, 458, 459, 460, 461, 462, 463, 464, 465, 466, 467, 468, 469, 470, 471, 472, 473, 474, 475, 476, 477, 478, 479, 480, 481, 482, 483, 484, 485, 486, 487, 488, 489, 490, 491, 492, 493, 494, 495, 496, 497, 498, 499, 500, 501, 502, 503, 504, 505, 506, 507, 508, 509, 510, 511, 512, 513, 514, 515, 516, 517, 518, 519, 520, 521, 522, 523, 524, 525, 526, 527, 528, 529, 530, 531, 532, 533, 534, 535, 536, 537, 538, 539, 540, 541, 542, 543, 544, 545, 546, 547, 548, 549, 550, 551, 552, 553, 554, 555, 556, 557, 558, 559, 560, 561, 562, 563, 564, 565, 566, 567, 568, 569, 570, 571, 572, 573, 574, 575, 576, 577, 578, 579, 580, 581, 582, 583, 584, 585, 586, 587, 588, 589, 590, 591, 592, 593, 594, 595, 596, 597, 598, 599, 600, 601, 602, 603, 604, 605, 606, 607, 608, 609, 610, 611, 612, 613, 614, 615, 616, 617, 618, 619, 620, 621, 622, 623, 624, 625, 626, 627, 628, 629, 630, 631, 632, 633, 634, 635, 636, 637, 638, 639, 640, 641, 642, 643, 644, 645, 646, 647, 648, 649, 650, 651, 652, 653, 654, 655, 656, 657, 658, 659, 660, 661, 662, 663, 664, 665, 666, 667, 668, 669, 670, 671, 672, 673, 674, 675, 676, 677, 678, 679, 680, 681, 682, 683, 684, 685, 686, 687, 688, 689, 690, 691, 692, 693, 694, 695, 696, 697, 698, 699, 700, 701, 702, 703, 704, 705, 706, 707, 708, 709, 710, 711, 712, 713, 714, 715, 716, 717, 718, 719, 720, 721, 722, 723, 724, 725, 726, 727, 728, 729, 730, 731, 732, 733, 734, 735, 736, 737, 738, 739, 740, 741, 742, 743, 744, 745, 746, 747, 748, 749, 750, 751, 752, 753, 754, 755, 756, 757, 758, 759, 760, 761, 762, 763, 764, 765, 766, 767, 768, 769, 770, 771, 772, 773, 774, 775, 776, 777, 778, 779, 780, 781, 782, 783, 784, 785, 786, 787, 788, 789, 790, 791, 792, 793, 794, 795, 796, 797, 798, 799, 800, 801, 802, 803, 804, 805, 806, 807, 808, 809, 810, 811, 812, 813, 814, 815, 816, 817, 818, 819, 820, 821, 822, 823, 824, 825, 826, 827, 828, 829, 830, 831, 832, 833, 834, 835, 836, 837, 838, 839, 840, 841, 842, 843, 844, 845, 846, 847, 848, 849, 850, 851, 852, 853, 854, 855, 856, 857, 858, 859, 860, 861, 862, 863, 864, 865, 866, 867, 868, 869, 870, 871, 872, 873, 874, 875, 876, 877, 878, 879, 880, 881, 882, 883, 884, 885, 886, 887, 888, 889, 890, 891, 892, 893, 894, 895, 896, 897, 898, 899, 900, 901, 902, 903, 904, 905, 906, 907, 908, 909, 910, 911, 912, 913, 914, 915, 916, 917, 918, 919, 920, 921, 922, 923, 924, 925, 926, 927, 928, 929, 930, 931, 932, 933, 934, 935, 936, 937, 938, 939, 940, 941, 942, 943, 944, 945, 946, 947, 948, 949, 950, 951, 952, 953, 954, 955, 956, 957, 958, 959, 960, 961, 962, 963, 964, 965, 966, 967, 968, 969, 970, 971, 972, 973, 974, 975, 976, 977, 978, 979, 980, 981, 982, 983, 984, 985, 986, 987, 988, 989, 990, 991, 992, 993, 994, 995, 996, 997, 998, 999, 1000.

PODSŁUCHANE W REDAKCJI DNIA 1 KWIEŹNIA

To są słowa, słowa, słowa,
Jak mówi A. Baranowa
I dodaje: Sz. Williamsa,
Skądby na to wpadła sama.

Poszło gładko, drogi tatko
Jak zwykł mawiać B. Rogatko

Nie bądź beztrojski, wyciągnij wnioski
Mawiał Horacy i K. Lisowski

Czasem na mgnienie zgasisz pragnienie
kwasem — jak mawia skromnie A. Pieniek

Tak się w trudach rodzi nuda
Mawia Małgorzata Ruda
I wybiega, jak się zdaje,
Nieco rozwiać ją we foyer.

Czego lunatyczka szukała w doniczkach
Pytanie z dzienniczka Tadeusza Nyczka

Pora do domu czyli house era —
To jest cytacik J. Kornhausera

Zrób psikus, zagraj bluesa,
To są słowa S. Balbusa

To jak w zalotach u kaszalota
Jak szepcze Terakowska Dorota
Z dziwnym grymasem pełnym goryczy
(Że coś wyjaśni niech nikt nie liczy)

Twój-em wszytek, co za zbytek
Jako mawia Turdza Witek



WSiP

WYDAWNICTWA SZKOLNE I PEDAGOGICZNE

Teresa Szumlewiec: EXERCICES AUTO-CORRECTIFS. Cz. I
Cena 32 000 zł

Zbiór testów gramatycznych i leksykalnych zgrupowanych tematycznie: część I: zdania twierdzące, przeczące, pytające i zaimki. Rozwiązania poszczególnych ćwiczeń znajdują się na końcu książki, co umożliwia samodzielną naukę i sprawdzenie swych umiejętności przed egzaminami.

Ewa Kołodziejka, Anna Sikorzyńska: TESTY DO MATURY
Cena 30 000 zł

Książka stanowi pomoc w przygotowaniu do ustnej matury z języka angielskiego. Składa się z dwóch części. Część I to obszerny zbiór ćwiczeń gramatycznych obejmujących cały zakres szkoły średniej. Uwzględniono tu wszystkie typy zadań gramatycznych najczęściej pojawiających się na egzaminach: transformacje, techniki wielokrotnego wyboru, wstawianie czasownika w odpowiedniej formie, wypełnianie luk, tłumaczenie. Część druga zawiera dwadzieścia pięć typowych ustnych egzaminów maturalnych, na które składa się: tekst do przeczytania wraz z pytaniami, sytuacje do odegrania, tematy do dyskusji i zestaw gramatyczny do rozwiązania. Książka pomyślana została jako pomoc dla maturzystów, może być jednak z powodzeniem wykorzystana przy przygotowaniu do wszelkiego rodzaju egzaminów.

Mariusz Misztal: TESTS IN ENGLISH. THEMATIC VOCABULARY
Cena 80 000 zł

Zbiór ćwiczeń testujących przeznaczony dla średnio zaawansowanych i zaawansowanych, w szczególności zaś dla osób, które w wysokim stopniu opanowały poszczególne sprawności językowe, ale odczuwają braki w słownictwie. Ćwiczenia pogrupowane są tematycznie, co sprawia, że wyraży są łatwiejsze do zapamiętania. Zastosowano bardzo różnorodne techniki testowania: technikę wielokrotnego wyboru, kategoryzację, dopasowywanie wyrazów do obrazków lub definicji, krzyżówki. Choć jest to pozycja pomyślana przede wszystkim jako materiał do pracy samodzielnej, może być z powodzeniem wykorzystana przez nauczycieli jako źródło materiału testowego.

TESTE DICH SELBST!

Zbiór testów egzaminacyjnych z języka niemieckiego. Praca zbiorowa
Cena 60 000 zł.

Zbiór obejmuje około 20 wszechstronnych testów, z których każdy składa się z części tekstowej (sprawdzającej rozumienie ze słuchu, tej części towarzyszy kaseta), części gramatycznej, leksykalnej i tłumaczeniowej. Wszystkie testy są autentyczne i stanowią wynik doświadczeń autorów - pracowników Zakładu Praktycznego Nauczania Języka Niemieckiego Instytutu Filologii Germańskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Zbiór przeznaczony jest dla uczniów szkół średnich, przygotowujących się do egzaminu z języka lub do egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie, dla kandydatów na kierunki filologiczne, na germanistykę i do kolegiów nauczycielskich a także dla młodzieży i dorosłych, uczących się języka w szkołach i na kursach, dla samouków chcących sprawdzić swoje możliwości i umiejętności.

Dział Sprzedaży Hurtowej WSiP:
Warszawa, ul. Grochowska 21, tel. 610-69-06, tel./fax 610-67-95

PODSŁUCHANE W REDAKCJI DNIA 1 KWIEŹNIA

Kto nosa nie wtyka ten biedy unika,
Powiada Pismo i profesor M. Wyka

To ja z bracią, gdy brać ma ciąg
Jak niekiedy mówi Maciąg

Niedostatek kaszy myszy nie przestraszy
Jak nieraz w zadumie mawia Wisława Sz.

Rzecz zasadnicza, wygodna prycza,
To słowa L. Elektorowicza.

Róż ci nie żal tedy pal las
Jak wskazuje nam T. Wal(l)as

Żaba li to, czy królewicz
Jak zwykł pytać H. Markiewicz